RODZINA I DZIECKO



N. 5

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR. 5 MAJ 1937 ROK II

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Już dwa lata...

Cios, który spadł na nas w ów tragiczny wieczór 12-go maja, był tak potężny, tak mocno i z nagła uderzył, że aż ogłuszył, poraził.

Utajone siły przyrody rozpętane w żywioł — burza piorunowa — obudziły nas z rozpacznego odrętwienia.

Wtedy dopiero zaczęliśmy rozumieć, że On „idzie, by przedłużyć swe życie, by być nie tylko z naszym pokoleniem, lecz i z tymi, którzy nadejdą. Idzie jako Król Duch..." [1]).

Ze zrozumieniem tego wstąpiło w serca nasze ukojenie, obudziła się w nas jakaś dziwna moc, idąca ku nam z Jego Ducha.

Dopóki żył między nami — nie rozumieliśmy często ani Jego słów - proroctw, ani Jego bezgranicznych męczeńskich zmagań, ani Jego walk o nowe, lepsze jutro Polski.

Dziś, kiedy Go już nie ma wśród żywych, „powtarzamy Jego słowa, jakgdyby był żywą istotą, powtarzamy wrażenia, które przeżywał. Wiemy, co mu się podobało, a co nie pozostawiło na Nim żadnej impresji. Jest więc żywy i żyje wśród nas i prawda śmierci okrutna, prawda śmierci potężna nie istnieje dla Niego" [1]).

Życiem swym dał nam, śmiertelnym, przykład największy, przykład jedyny — nieśmiertelny. W duszach naszych co dzień, co godzina potęguje nowe wartości, budzi nowe siły.

Z podziemi królewskich Wawelu uczy nas czcić wielkość Narodu Polskiego, uczy żyć dla niej i umierać.

Od spoczywającego w grobowcu na Rossie serca bije ku naszym sercom płomienna nauka miłości dla Matki - Ojczyzny. Nauka, jak należy czcić i kochać, jakim ma być uczucie syna.

Uczucie, nad którym nawet śmierć nie ma władzy.

Jadwiga Michalowska.

12.V.1937.

---

[1]) Józef Piłsudski — Przemówienie w Krakowie na Wawelu 28.VI.1927 r. z okazji sprowadzenia do kraju prochów Juliusza Słowackiego.

Maria Znatowicz-Szczepańska.

MATKI I CÓRKI.

Bardziej szczegółowy tytuł mojego artykułu powinienby brzmieć: „Matki, zbliżcie się do swoich córek!" lub: „Matki, nie bójcie się swoich córek!". Pragnę bowiem poruszyć temat, który narzuca się uważniejszej obserwacji stosunków między matkami a córkami. Stosunki te, tak zdawałoby się naturalne, są często najdziwaczniej pokręcone, skomplikowane, utrudnione — nieznośne dla obu stron, starszej i młodszej. Widzą to wszyscy, narzekają, obwiniają młode dziewczęta, stawiając im za wzór pokolenie ich matek, a tymczasem matki właśnie zaniedbały swoje obowiązki i zbierają owoce własnych błędów. Trzeba więc radzić, poprawiać, trzeba coś czynić, żeby było lepiej.

Gdyby czytające mnie w tej chwili osoby przedstawiały grono matek, że się tak wyrażę, „początkujących" matek niemowląt, powiedziałabym: W sam czas przyszłyście matki — rozprawiać o tym, jak zabrać się Wam trzeba do urabiania charakterów tych pociech, które jeszcze słowa wymówić nie umieją. W sam czas pomyślałyście, że stosunek Was, matek, do tych malutkich kobietek, jakimi są już Wasze córki, trzeba ustalić teraz, natychmiast, bo w pierwszym roku życia tych maleństw może już okazać się za późno na niektóre posunięcia. W pierwszym roku ich życia mogą zajść już i zajdą z pewnością sytuacje trudniejsze, wymagające decyzji wychowawczych. Przy stałości, przy konsekwentnej silnej woli z Waszej strony potraficie jeszcze niedokładności poprawić, zło usunąć, dobry ład wprowadzić, autorytet swój ugruntować. Później może się zrobić tak, że między Wami a małą, ale bardzo energiczną osóbką, będącą Waszą córką, zacznie rosnąć niedostrzeżony przez Was w porę wał nieporozumień, zaniedbanych okazji, niekonsekwentnych i niewyzyskanych rozporządzeń, uraz niezlikwidowanych i wał ten wyrośnie Wam ponad głowę, okaże się tak trwały, tak trudny do usunięcia lub choćby zmniejszenia, że opuścicie ręce w chwili, kiedy córki Wasze najbardziej Was będą potrzebowały.

Nad okresem niemowlęctwa rozwodzić się nie mam zamiaru. Powiem tylko, że to jest dla matki okres prac pozytywnych w dziedzinie fizycznej, przygotowawczych, ale z pewnością najważniejszych w dziedzinie moralno wychowaczej. Jest to jakgdyby precyzyjne i drobiazgowe zestawianie nadzwyczaj złożonego i cennego aparatu przyszłego człowieka, ładowanie energii i twórczej mocy w jego ukryte motory, jest to jednocześnie dla matki czas, kiedy ona sama powinna wydobyć z siebie, wypróbować i ustalić swoje najlepsze zdolności, talenty i cechy. Bo przecie waży się tu i przygotowuje nie byle jakie dzieło: nowy człowiek! Nowe ogniwo nieśmiertelnego w przyszłość idącego łańcucha ludzkości, nowa kiedyś — matka, może geniusza, może odrodziciela świata?

Nie unośmy się. Geniusz, odrodziciel — może — ale dość, że człowiek,

że przyszła kobieta. To wystarczy jako przedmiot godzien jaknajpilniejszej uwagi i jaknajwiększego starania. Czyż może być, aby obdarowana takim skarbem matka wolała stroić się, flirtować, grać w bridge'a lub plotkować, niż czuwać nad swoim dobrem?

Wiemy jak to jest w życiu i rzućmy zasłonę. Dużo jest matek zbrodniczo lekkomyślnych, ale dużo też pełnych jaknajlepszej woli. O tych tylko mówić tu warto. I prawda, że łatwiej dziecko urodzić niż znaleźć w sobie samym potrzebne do jego wychowania zdolności, bo sam fakt zostania matką bynajmniej ich nie stwarza. Ale takie stawianie kwestii nie może być argumentem. Właśnie dlatego, że nie wszystkie matki wiedzą jak brać się do spraw wychowawczych, trzeba o tych sprawach mówić, uczyć się i dyskutować jaknajwięcej.

Dobrze zakorzenione w niemowlęctwie nałogi porządku, systematyczności, panowania nad popędami, karności fizycznej znajdą dalsze zastosowanie, naturalny rozwój i coraz szerszy zasiąg w latach dzieciństwa. Rozciągać się wkrótce zaczną na dziedziny wychowania moralnego i — zamiast je wmuszać — trzeba je będzie uzasadniać i tłumaczyć. Z niemowlęcia bowiem wyrosła już dziewczynka, bardzo wcześnie, jak to bywa u dziewcząt, świadoma samej siebie i ciekawa otaczającego ją świata.

Wobec takiej 3, 4-o i 10-cioletniej panny zdasz teraz, matko, pierwszy egzamin i zobaczysz, czy jesteś dla niej bezwzględnie uznawanym i wielbionym autorytetem, czy ofiarą jej grymasów, samowoli, wymagań i dziecinnej bezwzględności. Bo, o ile w ogóle przy niej jesteś, o ile nie kto inny, płatny, czy rodzinnie zainteresowany nią się zajmuje, to trzeciego stosunku tu być nie może, tertium non datur. Albo córka twoja uwielbia cię bez zastrzeżeń i wierzy w ciebie, albo wypróbowuje na tobie swojej przewagi wiedząc, że tymi czy innymi sposobami potrafi z twojej słabości wyciągnąć to, co jej się podoba. Nie trzeba dowodzić, że pierwszy jedynie stosunek jest w tym okresie rozwoju twojej pociechy pożądany i pożyteczny. Dowodzi bowiem, najpierw, że czasu nie straciłaś i potrafiłaś zdobyć godziwą przewagę nad swoim dzieckiem dla jego najwyższego dobra, a potem, że masz trwałą podstawę do dalszych ćwiczeń wychowawczych i zamieniania teorii na praktykę. Dziecko twoje samo się już porusza, przybiera na sile, sprawności i odwadze, ale moralnie ciągle jeszcze potrzebuje ciepła twojego objęcia i kierunku twojej dłoni. Poza tym, teraz właśnie a nie kiedyindziej decyduje się jedna sprawa ponad wszystko ważna: w czasie gdy dziecko doszło, jak to się mówi, do rozumu i gdy matka jest dla niego alfą i omegą mądrości, matka powinna postarać się o tak bliskie postawienie swego do dziecka stosunku, żeby odtąd już nazawsze można było wzajemnie wszystko sobie powiedzieć. To jest jakby taki próg, który trzeba zwalczyć i przekroczyć za pomocą uczucia. Matka powinna tak wiele tego uczucia okazać córce, tak przejąć się wszystkim, co córkę przejmuje, tak wżyć się w świat wewnętrz-

ny swego dziecka, żeby to dziecko nie potrzebowało szukać do niej drogi, żeby nie musiało troszczyć się o formę dla treści tych przeżyć, z jakich zechce się jej spowiadać, żeby przekonało się, że najpewniej u niej znajdzie zrozumienie, radę i ratunek w godzinie szczęścia albo niedoli. Jeśli w tych właśnie najwcześniejszych latach młodości zaniedba matka takiego mocnego związania się ze swym dzieckiem, to potem już wszelkie próby ją zawiodą i najpewniejsza broń wychowawcza wymknie się z jej rąk. Bo przyjdą teraz lata najtrudniejsze, przejściowe lata dojrzewania fizycznego i duchowego, walk, upadków, wybryków, prób, lata pozornego bezsensu a najtrudniejszego wykuwania sobie drogi, czas największej trudności wypowiedzenia się, samookreślenia, czas buntu przeciw najgorętszym z dotychczasowych ukochań, negacji prawd dotąd niewzruszonych, szukania i odrzucania autorytetów i wtedy co? Wtedy dopiero zdobywać sobie zaufanie? Wtedy szukać drogi do rozgoryczonego serduszka i zawróconej głowy? Wtedy wysuwać swoje dojrzałe racje i chcieć, aby były uznane? W przytłaczającej ilości wypadków na nic i to się nie zdało. Wyjmiecie z siebie serce, wyprujecie duszę, a zuchwały dzieciak odtrąci wszystko, zrani słowem okrutnym w swej bezświadomej jaskrawości, nie zrozumie, nie oceni i jeszcze będzie się najszczerzej uważał za ofiarę Waszej srogości, waszych staroświeckich sentymentów, przedwiecznych zapatrywań i teoryj. W rezultacie zamknie się na siedem pieczęci i zamilknie jak wobec wroga. Posłyszycie wtedy lodowate dzień dobry, grzeczne dziękuję lub proszę, darmo oczekiwać będziecie tak czułego do niedawna dobranoc. Oczy dziecka przestaną Was dostrzegać, każdy będzie milszy, mądrzejszy, zabawniejszy niż matka. Czyjeś zdanie stanie się rozstrzygające, nie Wasze, czyjś gust wykwintniejszy, czyjeś suknie, mieszkanie, potrawy, zabawy, upodobania lepsze, ładniejsze. Czyjeś, co gorsza, współczucie lub zrozumienie, pewniejsze i bardziej pożądane.

Jakże inaczej sprawa będzie się przedstawiać, gdy matka potrafi przekroczyć trudny próg wiodący do jej dziecka. Jeśli w sposób naturalny, niewidoczny, sam przez się zrozumiały dołączy się do przeżywanych przez córkę, przez tę najbliższą jej młodszą kobietę, zdarzeń i konfliktów. Jeśli córka zobaczy, że swoje wrażenia, swoje radości i rozpacze może porównać z tymi, jakie matka, najbliższa jej starsza kobieta, dobrze z własnej młodości zna i pamięta, a teraz na nowo z nią od początku przerabia. Jeśli nie będzie między matką a córką fałszywych wstydów, niemożliwych do zrozumienia sytuacji, kłótni o nazwy, o sposób wyrażania się, o drobiazgi, w każdym pokoleniu inaczej wyglądające, a w gruncie wiecznie takie same. Jeśli matka będzie mogła, bez obawy o utratę zaufania, z jednych rzeczy się naśmiać, innymi szczerze zmartwić, jeszcze innymi do głębi serca uradować, a za jakieś tam zburczeć porządnie, słów tak dalece nie dobierając. Jeśli matka nie będzie się bała swojej panny i potrafi żyć z nią w porozumieniu przyjaciółki, nie poświęcając jednak nic ze swego autorytetu macierzyńskiego. Zdobycie takiej postawy — to klucz do trudnej sprawy

wychowania. Mogą i teraz być chwile gorsze, momenty nieporozumienia, gniewów, zniechęcenia, ale nie będzie obojętności i obcości. Wszystko będzie można powiedzieć, gdy przyjdzie ochota do mówienia i nikt nie będzie się gniewał za milczenie. Prośba również łatwo przejdzie przez usta jak odmowa. Dla wyrażenia jakiejś chęci nie będzie trzeba udawać, zgrywać się, kręcić, kombinować, wystarczy objawić ją i wspólnie rozpatrzyć czy jest możliwa do osiągnięcia lub wykonania. Zbędne się staną wymuszania czegoś za pomocą łez, gniewów, podstępów albo nadmiernych na odwrót przymilań i zabiegów. Młodsza kobieta podda się woli starszej bez wstydu, bez niechęci, a starsza da się nieraz pociągnąć temperamentowi młodszej, bez obawy narażenia swojej powagi czy przewagi i obu będzie lżej, lepiej, weselej...

żeby nie obracać się w ogólnikach, weźmy parę przykładów.

Matka jest osobą religijną. Praktykuje i w atmosferze pobożności chciałaby wychować swoją córkę. Ale nie umiała nigdy mówić z nią o tych sprawach, nie potrafiła przemóc w sobie jakiejś w tym kierunku nieśmiałości, wstydliwości, nie wzięła żadnego udziału w przygotowaniu dziewczynki do pierwszej spowiedzi, nie zastanowiła się ani razu z nią razem nad życiem Chrystusa. Robili to za nią dla jej dziecka obcy — wychowawczyni, katecheta, szkoła, kościół. Rezultat — matka n i e w i e, że jej córka od chwili wyjścia ze szkoły przestała uczęszczać do kościoła i przystępować do sakramentów św., a kiedy się dowie — słowa jej, wymówki czy łzy nawet nie będą już miały znaczenia.

Inny przykład: dziewczynka jest wyjątkowo wrażliwa, czuła, nieśmiała. Zamęcza matkę pieszczotami, zwierzeniami, nastrojami. Trafia często nie w porę i poprostu nudzi lub złości tę matkę zajętą czym innym czy też właśnie do czułych tête à tête nieusposobioną. Ale matka, zamiast — raz przełamać się i nagiąć świadomie do wymagań dziecka, a drugi raz łagodnie je zmitygować, coś mu innego podsunąć i znowu potem kiedyś wysłuchać — zbywa wylewy córki byle czym, zdawkową pieszczotą, roztargnionym słowem, źle zamaskowanym ziewnięciem. Boi się powiedzieć wyraźnie, co o nich myśli i po jakimś czasie spostrzega, że córka już ją przestała zanudzać, natomiast znalazła sobie przyjaciółkę, w którą wierzy jak w Mahometa i która ma na nią wpływ najfatalniejszy. Próby przywołania na powrót zaufania — nie zdadzą się na nic.

Albo tak znowu: zasady w domu są wspaniałe. Ciągle się mówi jak powinno być to i tamto zrobione czy pomyślane — co kościół, co naród, co tradycja powiedzą w każdym wypadku. Ale na wykonanie choćby jednej rzeczy według tych zasad sił nie wystarcza. Powie się jaknajgórniej, zrobi — jaknajwygodniej i najłatwiej. Kilkunastoletnia dziewczynka, przeżywająca właśnie swoją Sturm und Drang epokę, burzy się przeciw małoduszności matki, usiłuje z tym walczyć, wybucha krytyką, oburzeniem, robi wszystko właśnie całkiem inaczej niż wszyscy. Na to — słyszy zno-

wu wzniosłe kazanie o nieposzanowaniu starszych, o nieprzyzwoitych wybrykach... o zarozumiałości... a tryb w domu nie zmienia się ani na jotę. Matka by może i chciała, ale zwleka, moment stosowny przeoczyła, teraz jej niesporo, bo i z miłości własnej dużo trzeba by poświęcić, czuje, że w zasadzie córka ma słuszność, jednak jej tego głośno nie przyznaje. No, i drogi tych dwóch kobiet rozchodzą się bezpowrotnie.

Wiemy zaś, wiedzą te szczęśliwe matki, które dzieło wychowania potrafiły skierować na dobre tory, że lepszej, wierniejszej, milszej przyjaciółki jak córka nie znajdą na całym świecie!

O jednej jeszcze kapitalnej przeszkodzie w należytym wychowaniu dziecka wspomnieć trzeba: o tak częstym obecnie rozbiciu rodziny. Dziecko, jak roślina najdelikatniejsza potrzebuje do swego rozwoju atmosfery ciepła, pogody, spokoju. Nie może rosnąć i kwitnąć tam, gdzie jego uczucia nie znajdują naturalnych warunków, tam, gdzie matka albo ojciec jest dlań człowiekiem nowym, wprowadzonym na miejsce „prawdziwego", gdzie nie rozumiejąc nawet dobrze, co się to dzieje, dziecko odczuwa stale albo krzywdę jednego z rodziców, albo ukrywaną tragedię, albo samo czuje się zbytecznym, niepotrzebnym tej parze ludzi, swoimi tylko sprawami zajętej. W takiej sytuacji matka, jeśli chce wychować córkę dobrze, jeśli ją kocha naprawdę i dba o nią, ma zadanie podwójnie ciężkie, wręcz czasem tragiczne i zasługuje na podziw, jeśli dojdzie do pomyślnych rezultatów bez względu na to czy sama jest szczęśliwa, czy nieszczęśliwa.

Jakąż więc zasadę należytego wychowania córki wyprowadzić można z tych rozważań? Jaknajbliższe współżycie matki z córką, od chwili jej urodzenia, współżycie oparte na zrozumieniu i głębokim ukochaniu młodszej kobiety przez starszą, na odważnym przerabianiu nasuwających się zagadnień wychowawczych, na szczerości, prawdzie, sumienności, dobroci.

E. Szteinbokówna.

SAMORZĄD JAKO JEDEN Z CZYNNIKóW KSZTAŁCENIA OSOBOWOŚCI DZIECKA.

Idea Samorządu, szerzona na Zachodzie przez pionierów Nowego Wychowania w końcu XIX i na początku XX wieku, wyzwalająca najcenniejsze pierwiastki ludzkiej natury, jakimi są:

1) karność wewnętrzna,

2) poczucie odpowiedzialności za swe czyny,

3) solidarna współpraca z innymi — stała się jednym z bardzo ważnych czynników kształcenia osobowości młodzieży.

Samorząd jest to bowiem panowanie nad sobą, samo - wychowanie, rządzenie sobą, w którym rządzący jest zarazem rządzonym. Jest to zdol-

ność, którą można nabyć przez ćwiczenie, która musi się stać nie chwilowym aktem woli, lecz musi być trwałym stanem duszy. Samorząd nie może się opierać na przymusie lub zewnętrznym naśladownictwie, ale musi badać tendencje podświadome dziecka czy młodzieńca i kierować jego aktywność do celów pożytecznych.

Jakkolwiek z punktu widzenia socjologii wychowania rodzina nie jest grupą, stworzoną wyłącznie dla celów wychowawczych, gdyż te zadania łączy i z innymi funkcjami społecznymi, to jednak dziecko, jako członek rodziny i uczestnik jej zbiorowego życia, utożsamia się z nią w mniejszym lub większym stopniu. Stąd wynika głęboki, samorzutny wpływ grupy rodzinnej w kształtowaniu się uczuć, dyspozycyj społecznych, oraz świadomości moralnej jednostki.

Jeżeli dla każdego społeczeństwa rodzina ma bardzo ważne znaczenie, to dla narodu polskiego była ona w okresie niewoli ostoją narodowej tradycji, szkołą miłości kraju i przystanią, w której szukał schronienia język ojczysty, poezja i historia narodu. Rodzina stała się dźwignią ducha patriotycznego, tworzyła opinię publiczną, ratowała dusze młodych pokoleń od skażenia i deprawacji.

Przeobrażenia społeczne po wielkiej wojnie światowej dotknęły i rodzinę. Jedna część rodziców — to rzesze pracowników, pogrążonych w ciężkiej walce o byt, którzy pragną dać dziecku maximum wykształcenia, nie doceniają jednak znaczenia wychowania, którego sami nie otrzymali, druga — to nowobogaccy, których ideały życiowe ograniczają się do dogodzenia najprymitywniejszym instynktom i nie wnoszą cech dodatnich do wychowania.

Moralna atmosfera wielu dzisiejszych rodzin — burzliwa, niespokojna i pełna rozdźwięku — czyni dziecko przedwcześnie dojrzałym, nerwowym i smutnym. Z konieczności więc ciężar wychowania przenosi się często na szkołę, jako instytucję z natury rzeczy powołaną do wychowania młodzieży. Ona to uważa samorząd za najlepszy czynnik rozwinięcia i utrwalenia potrzebnych cech charakteru dla stworzenia typu twórczego i świadomego swych obowiązków obywatela państwa.

Samorząd musi być dostosowany do charakteru młodzieży i jej potrzeb narodowych i państwowych. Musi być pojęty z jednej strony jako środek wychowania społecznego, z drugiej — państwowo obywatelskiego. Jako taki musi wyrobić w młodzieży: karność wewnętrzną, poczucie ładu społecznego i odpowiedzialność za swe czyny, silną wolę i wytrwałość w dążeniu do osiągnięcia zamierzonego celu, sumienność, obowiązkowość i prawdomówność, potrzebę zgodnego współżycia i współdziałania z innymi oraz szeroko pojętą współpracę obywatelską.

Wprowadzenie samorządu do szkoły jest rzeczą dość trudną, wymaga bowiem dużej cierpliwości, tolerancji i wytrwałości ze strony szkoły. Nie łatwo jest bowiem przyzwyczaić młodzież do słuchania starszego kolegi czy koleżanki, dużej trzeba siły woli wychowawcy, aby wyczekać,

aż z pierwotnego chaosu wyłoni się jaka taka zorganizowana całość. Pierwsze zebrania Samorządu upływają często na skargach i kłótniach, które trzeba wyjaśniać i godzić, powołując najtrudniejsze i najmniej opanowane jednostki do pełnienia bardziej odpowiedzialnych czynności, aby zrozumiały, jak trudną jest sztuka rządzenia.

Najpierw tworzy się zazwyczaj samorząd klasowy, cechą którego jest powierzanie różnych funkcji klasowych dużej ilości młodzieży, aby ją zainteresować potrzebami i zachowaniem się kolegów czy koleżanek. Na zebraniach tygodniowych zdają one sprawę z pełnienia swych obowiązków, przy tym może się wywiązać pożyteczna dyskusja na temat sumienności w spełnianiu narzuconych przez klasę lub dobrowolnie podjętych czynności.

Jakżeż wygląda ten samorząd w szarym, codziennym życiu np. szkoły żeńskiej?

Przeciętny dzień uczennicy w szkole żeńskiej wygląda tak: przy wejściu do szkoły w szatni, wyznaczona przez klasę szatnistka czuwa, by buciki, zmieniane na pantofle, były złożone na właściwym miejscu; przed dzwonkiem inna dziewczynka pod opieką wychowawczyni prowadzi listę obecności, odbiera świadectwa od nieobecnych w szkole poprzedniego dnia; higienistka sprawdza, czy jest biały kołnierzyk, pilnuje mycia rąk przed śniadaniem; przewodnicząca przestrzega ciszy przed lekcjami, wietrzenia klasy w czasie przerwy i dogląda pracy wszystkich koleżanek; porządkowa przygotowuje na katedrę książkę, pióro, cyrkiel lub odpowiednie potrzebne na lekcję przyrządy lub mapy, które sprząta po skończonej lekcji; bibliotekarka wydaje książki, czuwa nad katalogiem, prowadzi statystykę czytelnictwa; po lekcjach szatnistka odprowadza klasę do szatni i pilnuje wychodzenia uczennic.

Inaczej wygląda, że tak powiem, świąteczny nastrój pracy samorządowej — przygotowanie obchodu, teatru, czy zabawy. Cała szkoła wtedy kipi życiem: Zarząd Główny rozdaje czynności poszczególnym klasom i zaczyna się robota. Jedne dziewczynki wycinają i zawieszają firanki w oknach, inne zdobią drabinki gimnastyczne, jeszcze inne stroją instrumenty czy przygotowują deklamacje. A ileż to radości i gwaru, gdy obchód czy koncert wypadnie dobrze, gdy referat, wygłoszony z pamięci zadowolni nawet bardzo wymagającego nauczyciela. Wtedy dopiero widzi się, ile nagromadzonej energii twórczej może wyładować to dziecko, które rano było zmęczone i przygaszone.

W klasach przejściowych, gdzie następuje rozwój fizyczny dziewcząt, wielka w tym okresie ociężałość, lenistwo, kłótliwość, kapryśność — nie sprzyjają normalnej pracy samorządowej. Trzeba raczej godziny wychowawcze wykorzystać na gry i zabawy, bacząc i tu na zwalczanie ujemnych, a potęgowanie dodatnich cech charakteru.

Dopiero od klasy III nowego typu należy z młodzieżą omówić pojęcie samorządu, jego zadania i cele, wyjaśnić potrzebę karności, płynącej ze

zrozumienia, a nie z przymusu, budzić potrzebę bezwzględnego poszanowania i przestrzegania prawa szkolnego i wymagać wytworzenia mocnej opinii klasy w stosunku do koleżanek lub kolegów nie stosujących się dobrowolnie do ustanowionych praw. W tym okresie należy już zapoznać młodzież ze sposobem prowadzenia obrad, zabierania głosu, protokółowania, z wyborami i t. p.

Gdy tak zwany samorząd klasowy rozwinął się dostatecznie i pracuje sprawnie, należy utworzyć z zarządów klasowych Centralę — Zarząd Główny, aby w sprawach, obchodzących całą szkołę, np. obchodów, zabaw, uroczystości — mogły się łączyć wszystkie klasy, pracując poza tym autonomicznie, zależnie od indywidualnych potrzeb i zainteresowań. W takiej pracy autonomicznej jedne klasy dyskutują nad sprawami aktualnymi po wspólnym odczytaniu artykułu z jakiegoś pisma, omawiają go, redagują odezwy do ściennej gazetki klasowej, nawołując do wprowadzenia w czyn takiej lub innej uchwały, np. pomoc bezrobotnym, dożywianie niezamożnej dziatwy, szycie ubrań i bielizny dla powodzian.

Inne klasy rozwijają samopomoc koleżeńską, powołując zdolniejsze koleżanki do pomagania w różnych przedmiotach mniej zdolnym a niezamożnym, wprawiają się w czynności organizacyjne, urządzają zabawy, przygotowując kostiumy i dekoracje do przedstawień szkolnych, rozdają role, a nawet samodzielnie reżyserują komedyjki. Zaprawia to młodzież do pracy społecznej, przygotowanej na terenie szkoły i przeniesionej na szersze tory.

Samorząd w klasach najwyższych powinien już dawać podstawy wychowania obywatelskiego. Młodzież musi w tych klasach uświadamiać sobie rolę obywateli w szkole, rodzinie i państwie, a zaprawić się do tej pracy przez czynny udział w organizowaniu życia klasowego i szkolnego. Samodzielne organizowanie wycieczek, przygotowywanie okolicznościowych referatów, fotografie i sprawozdania pozwolą młodzieży brać stopniowo czynny udział w akcji dorosłego społeczeństwa, zetknąć się z potrzebami ludzi i poznać je.

Należy w tym okresie życia młodzieży zapoznać ją z różnymi instytucjami użyteczności publicznej, jak żłobki, szpitale, bursy i t. p., urabiać ich opinie przez odpowiednie ankiety i zebrania dyskusyjne na tematy aktualne np. „Rola kobiety w rodzinie, społeczeństwie i państwie", „Znaczenie przysposobienia wojskowego dla chłopców i dziewcząt", „Wybór zawodu z punktu widzenia pożytku osobistego, społecznego i państwowego" i tp.

Ważnym czynnikiem kształcenia osobowości młodzieży będą także same organizacje, wchodzące w niektórych szkołach w skład Samorządu, jak kółka, sklepik czy pismo szkolne. Celem takiego czy innego kółka jest pogłębienie prac w ulubionym przedmiocie, zastosowanie teorii, otrzymanej na lekcji, do celów praktycznych, zaprawianie się do sumiennego i dokładnego wykonania dobrowolnie podjętej pracy, wyrobienie wytrwa-

łości i siły woli. Kółko składa się najczęściej z młodzieży różnych klas, co dodatnio wpływa na zżycie się młodzieży różnego wieku, wyrabia solidarność nie tylko koleżeńską, ale społeczną, uczy poczucia odpowiedzialności za wykonaną zbiorową pracę, gdzie za niedokładność lub niesumienność jednostki ponosi krzywdę ogół, pozwala całej grupie pracować nie dla korzyści osobistej, lecz dla dobra ogólnego, uczy wzajemnego korzystania ze wspólnych umiejętności i zgodnej współpracy w gromadzie.

Sklepik czy kooperatywa uczy dbałości o zabezpieczenie dobra materialnego całej gminie szkolnej, uczy oszczędności przy nabywaniu odpowiednich towarów i podziału zysków na cele osobiste i społeczne.

Samorząd musi być instytucją żywotną, nie może przeto skostnieć w pewnych stałych formach i szablonach, dlatego rozwój jego będzie zawsze zależny od warunków szkoły, a przede wszystkim od indywidualności jego kierowników. Opiekun Samorządu musi zdawać sobie sprawę z tego, czy jego forma odpowiada ciągle jednakowym potrzebom szkoły i zainteresowaniom młodzieży.

Na terenie jednego z gimnazjów żeńskich Samorząd przechodził wzloty i upadki, parokrotnie zmieniał formę, uzupełniał i reorganizował statut, a w chwili obecnej z klasowego stał się międzyklasowy, tworząc kilka żywotnych sekcyj, odpowiadających potrzebom szkoły. Są więc następujące sekcje: 1) samopomocy, 2) porządkowa, 3) rozrywkowa, 4) biblioteczna, 5) dożywiania niezamożnej młodzieży szkół powszechnych, 6) obchodowa. Sekcje te wspólnie z Zarządami klasowymi układają wewnętrzne życie szkoły, przedstawiając swoje projekty do aprobaty dyrekcji Gimnazjum.

Taka harmonijna współpraca dyrekcji i grona nauczycielskiego z młodzieżą przyczynia się niewątpliwie do wyrobienia osobowości młodzieży i ochroni ją może przed niejednym załamaniem się w życiu.

Życie bowiem wchodzi dziś coraz bardziej do szkoły, pociąga w swój wir młodzież, którą należy przygotować, zahartować, uodpornić i zaprawić do życia osobistego i do czynu społecznego i obywatelskiego.

Jadwiga Kopciowa.

DOBRE WAKACJE.

Dziewczynki podczas przerwy grają w palanta na dziedzińcu szkolnym. Grażyna i Wiesia należą do jednej partii. Wiesia zręczna i wysportowana przebiegła swą trasę i może „wykupić" Grażynę, która spóźniona w biegu została w poprzedniej grze „spalona".

— Wydobyłam cię z „ognia", możesz znowu rzucać piłkę — woła zadyszana Wiesia.

Dzwonek na lekcję. Wracają do klasy. Odświeżony umysł pracuje z nową energią, kombinuje, przyswaja.

Słońce majowe załamuje się w szybach okiennych, inkrustuje złotem okładki książek i zeszytów. Jak trudno myśleć i uważać! Ale jeszcze trochę cierpliwości — nadchodzą wakacje.

— Wiesiu, dokąd jedziesz na lato? —

zapytuje Grażyna, żegnając się z koleżanką.

— Ja? naturalnie na obóz, jestem wprost nieprzytomna z radości, podobno jest cudnie na tych augustowskich jeziorach, mam dostać aparat i będę robiła zdjęcia: a ty Grażynko?

— Ze mną jeszcze nie wiadomo, jak się ułoży, ale chyba nie od razu jeszcze wyjadę, będę chodziła w Aleje 3-go Maja, zaabonuję się w czytelni, a miesiąc spędzę u babci.

— A czy jest tam las i woda?

— Jest rzeczka, mogłabym nawet wiosłować, ale babcia ani na krok nie puści mnie od siebie, niepokoi się i zaraz coś złego przewiduje.

— Współczuję ci doprawdy, jabym tak nie mogła.

— Lepszy rok szkolny niż takie wakacje — myśli Grażyna w drodze do domu — zimą przynajmniej mam czas wypełniony pracą, poza tym chodzę do teatru na przedstawienia abonamentowe lub na lepsze filmy, a jeszcze mam ślizgawkę i pływanie. Już ja z góry wiem jak to będzie, całe tygodnie upłyną na przygotowaniach, a potem wyjedzie się na letnisko, gdzie nie ma żadnej swobody.

Słuszne były przewidywania Grażyny.

W domu — wielkie letnie porządki, trzepanie mebli i dywanów, zabezpieczanie ubrań i futer. Grażyna wygląda oknem, przez które wpadają gęste kłęby kurzu. Ten nieznośny zapach naftaliny!

Zaczyna się mierzenie sukienek, przerabianie, podłużanie. Jakież to nudne! A czas jak na złość ani na chwilę nie zatrzymuje się w biegu. Upłynęło już kilka tygodni pięknej pogody w mieście. Nadeszła lipcowa spiekota — ulice opustoszały.

Grażyna w oczekiwaniu mającego nastąpić wyjazdu przesiaduje na balkonie, czyta książkę, podlewa kwiaty w korytkach, wygrywa na fortepianie „Pieśń wiosenną" Griega. Wiszące na ścianie lustro odbija jej bladą i smutną twarzyczkę.

Nareszcie zbliża się chwila upragniona — wyjeżdża. Z początku wyleguje się na hamaku, czyta, konsumuje przeróżne specjały. Czekoladę i śliwki na patyczku znajduje zawsze pod poduszką „na dobranoc". Okno jej pokoju zawieszone zostaje gęstym muślinem, by nie zajrzał gość nieproszony — wczesny promień słońca.

Po południu Grażyna chodzi do parku. W kasynie gra orkiestra. Zaraz po powrocie musi zdjąć swą modną sukienkę, by jej nie zagnieść lub nie splamić. Przebiera się po parę razy dziennie. Nawet we własnym ogródku nie może znaleźć swobody, więc dużo przesiaduje w mieszkaniu.

— Czy mogłabym pójść na łódki? — pyta któregoś ranka.

— Co, na łódki? czy chcesz utonąć, mało to bywa wypadków, niedalej jak tydzień temu zginęło dwoje dzieci...

— Ależ dzieci te były małe, nie umiały pływać, bez opieki bawiły się nad wodą...

— Czy to nie kaprys lub zachcianki, powiedz czego ci brak właściwie?

— Ja doprawdy nie wiem sama, czuję potrzebę ruchu, sportów, towarzystwa rówieśnic...

— Ależ musisz pamiętać o swym zdrowiu, chorowałaś przecież na grypę.

— Wszyscy chorowali, gdy była epidemia...

— Martwisz nas tylko i nie umiesz ocenić tego, co posiadasz, inna na twoim miejscu...

— Nie wiem jak inna, ale ja doprawdy wyrzekłabym się chyba niejednego, by mieć choć trochę swobody, ale przecież wiem, że to niemożliwe...

A teraz w stronę Wiesi.

Pożegnawszy się z Grażyną biegnie jak strzała do domu. Ma zaledwie tyle czasu, by zjeść obiad i złożyć rzeczy. Przygotowuje plecak, obozówkę, menażkę, chlebak, koc, kilkanaście woreczków na różne drobiazgi, ogląda swój mundur, przyszywa guziki i sprawności, przywiesza do pasa nóż fiński. W tym roku zdobyła II-gi stopień i po raz pierwszy jedzie na obóz.

— Uważaj, gdzie masz pieniądze — przestrzega matka — legitymację schowaj do kieszeni kurtki, trzymaj się dzielnie, a pisuj! Przygotowałam ci w tym celu kilka kart zaadresowanych, masz je w płóciennej teczce.

1-szy list Wiesi.

Wczoraj rozbiłyśmy namioty, śpię na pryczy. Dodatkowy koc przydał się bardzo. Słyszałam w nocy słowika.

2-gi list Wiesi.

Obiad, który przyrządziłyśmy same, był znakomity. Po obiedzie były 3 kwadranse ciszy, a potem czas wolny, podczas którego grałyśmy w siatkówkę. Wieczorem śpiewanie przy ognisku. Było rozkosznie. Księżyc świecił mi prosto w oczy, ale spałam jak kamień.

3-ci list Wiesi.

Dziś podczas gotowania na kuchni polowej jedna z harcerek z zastępu służbowego oparzyła rękę. Bardzo się przydała moja sprawność ratowniczki. Zrobiłam jej natychmiast opatrunek z oleju lnianego z wodą wapienną. Wozimy przecież ze sobą całą apteczkę. Ale jak dotąd raz tylko była potrzebna.

4-ty list Wiesi.

Udało mi się wczoraj tropienie, które należy do gier terenowych. Pierwsza spostrzegłam nieprzyjaciela i odstawiłam go jako jeńca do obozu. Nastrój w naszej gromadzie panuje bajeczny, żyjemy się jak nigdy w szkole.

Wstajemy o 6½ rano, o 8½ śpiewamy modlitwę wieczorną taką śliczną, która kończy się słowami „Bóg jest tuż..." Czujemy się bezpieczne i spokojne. Chyba tylko w niebie będzie lepiej!

Wiesia wróciła z wakacji do domu. Jest zdrowa i wesoła, opaliła się jak czerwonoskóra. Ma niezapomniane wrażenie bezpośredniego zetknięcia się z przyrodą, jest pokrzepiona na duszy i ciele. Ileż się nauczyła, ile skorzystała!

Rodzice uważają, że pobyt na obozie usamodzielnił ją bardzo i wyrobił. Dba odtąd sama o swą garderobę, zaściela łóżko, sprząta pokój, w jedzeniu przestała być grymaśna. Polubiła zimną wodę i spanie przy otwartym oknie.

Grażyna także wróciła. Ma smutek w oczach i nieskazitelnie białą cerę, gdyż za mało przebywała na słońcu. Nie zdobyła wrażeń, którymi mogłaby się dzielić z koleżankami. Słucha i posila się przeżyciami innych.

Na zdrowiu poprawiła się niewiele, gdyż miesiąc pobytu na letnisku okazał się niewystarczający. Ostatnie tygodnie spędziła już w mieście, mogła była dłużej pozostać, ale wolała wrócić, pomimo, że do rozpoczęcia roku szkolnego było jeszcze sporo czasu.

Jakie z powyższych przykładów możemy wyciągnąć wnioski?

Każdy dzień lata spędzony poza murami miasta ma dla uczącej się młodzieży bezcenną wartość, należy więc wszystko zawczasu przygotować, by okres ten całkowicie wykorzystać.

Właściwie pojęty odpoczynek letni w celu zaczerpnięcia nowych sił do pracy winien polegać na zmianie wrażeń i trybu życia — stanowić przeciwwagę okresu szkolnego, gdy z konieczności znaczną część dnia młodzież spędza w domu nad zeszytem lub książką.

Jedynie poważnie umotywowana troska o zdrowie, poparta orzeczeniem lekarza spowodować może ograniczenia i zakazy w kierunku naturalnej potrzeby sportów, wycieczek i gier ruchowych u młodzieży, lecz nigdy nasze przesadne a często nieuzasadnione obawy.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Społeczne wyrobienie młodzieży.

Niejednokrotnie dają się słyszeć głosy o zaniku zainteresowań społecznych młodzieży, która ukończyła szkoły w okresie ostatnich pięciu lat. Organizacje społeczne skarżą się na brak dopływu młodych sił, a pracownicy społeczni stwierdzają dużą różnicę w odnoszeniu się do tych zagadnień młodzieży obecnej, a tej, która wyszła ze szkół kilka lat temu. Zjawisko tym dziwniejsze, że przecież obecni absolwenci szkół średnich, to właśnie ci, którzy się wychowali już na nowych metodach, uwzględniających szeroko wyrobienie społeczne i obywatelskie, to przecież niedawni członkowie samorządów szkolnych, prezesi i prezeski, przewodniczący sekcyj pracy społecznej itd.

Zdawałoby się, że oni przede wszystkim okażą chęć wejścia w życie społeczne — tymczasem tak nie jest. Zjawisko ciekawe i zasługujące na uwagę. Jeżeli jest ono wynikiem rozbieżności pomiędzy dotychczasowymi formami, przyjętymi przez organizacje społeczne, a dążeniami młodzieży — to wszystko w porządku. Młodzież potrafi stworzyć własne metody i odnaleźć odpowiedni wyraz dla swych zamierzeń. Gorzej jednak, jeżeli w grę wchodzi nie forma, ale treść, jeżeli odsuwanie się młodego pokolenia od pracy organizacyjnej wynika z obojętności i zupełnego braku zainteresowania zagadnieniami życia społecznego. Taka postawa może budzić uzasadniony niepokój wychowawców. Nie chodzi zresztą o wybitną aktywność społeczną — można dyskutować na temat, czy każdy i w jakiej mierze powinien pracować społecznie — tu chodzi o stosunek do społeczeństwa, a zainteresowanie się sprawami ogółu, o wyjście z egocentrycznego rozpatrywania wszystkich zjawisk z punktu widzenia osobistych korzyści. Społecznicy zarzucają młodzieży właśnie zbytni egocentryzm i obserwacje zdają się jednak potwierdzać ten zarzut.

Wielki wpływ wywierają tu oczywiście ogólne warunki życia. Walka o byt od kilku lat stała się tak ciężka, że nic dziwnego, iż w wielu wypadkach zasłoniła sobą wszystko inne. Zniechęcenie, brak perspektyw na przyszłość, niemożność zdobycia pracy — nie są to warunki sprzyjające dla rozwoju uczuć altruistycznych. One tłumaczą dlaczego dwa zagadnienia pasjonują obecną młodzież: zmiana ustroju społecznego i metody polityczne mające doprowadzić do tej zmiany. Młodzież aktywniejsza, energiczniejsza pragnie wyjść z obecnej sytuacji i przebudować świat tak, aby znaleźć w nim potrzebne możliwości życiowe. Jednakże tylko żywotniejsze jednostki reagują w ten sposób. Słabszych, bierniejszych trudne warunki przygniatają, wywołując zniechęcenie, zamknięcie się w kręgu własnych przeżyć i kłopotów, a nieraz pragnienie egoistyczne, chwilami brutalne, wykorzystania danej chwili, pochwycenia przyjemności jaka się w tym momencie nasuwa, nie oglądając się czyim kosztem jest ona zdobywana. Żyć z dnia na dzień, bo nad jutrem lepiej się nie zastanawiać.

Na takim tle rozwija się obecnie działalność społeczno-wychowawcza. Nie jest ona łatwa. Odnalezienie właściwej metody, właściwego podejścia do sprawy jest w tej chwili rzeczą zasadniczą. Nie umniejszając znaczenia samorządów szkolnych trzeba jednak powiedzieć, że nie spełniają one stuprocentowo swego zadania. Wiadomo jest i musi tak być, że sprawy najważniejsze, najbardziej obchodzące uczniów i uczennice są decydowane poza samorządem szkolnym przez grono nauczycieli i dyrekcję szkoły. W niektórych szkołach doskonale zorganizowanych samorząd robi wrażenie czegoś raczej kłopotliwego, gdyż i nauczyciele i uczniowie mają poczucie, że jest to jakiś dodatek do życia szkolnego, które i tak rozwijałoby się zupełnie normalnie. W jednej ze szkół przy wpro-

wadzeniu samorządu padło pytanie (oczywiście ze strony ucznia z młodszych klas) — „a czy nasz samorząd może przedłużyć wakacje?” Pytanie charakterystyczne w swej naiwności, gdyż wskazujące na to, że dla ucznia najważniejsze są sprawy bezpośrednio dotyczące życia szkolnego, na które samorząd albo wogóle wpływu nie ma, albo wpływ ten jest minimalny. Bardzo żywotny był samorząd w jednym internacie, w którym opieka wychowawcza była zupełnie niedostateczna. Młodzież zostawiona sama sobie musiała ująć rządy we własne ręce, gdyż życie gromadne stało się niemożliwe. Ciekawe przy tym było to, że przepisy wydane przez samorząd były dużo ostrzejsze i bezwzględniejsze niż normalne przepisy internatowe. Jednakże taki eksperyment nie jest pożądany.

Samorządy szkolne prowadzą zwykle działalność społeczną czy też charytatywną poza terenem szkoły. Objawia się ona rozmaicie: praca starszych uczniów w świetlicach dla dzieci, pomoc w dożywianiu, przygotowywanie pomocy szkolnych dla szkół uboższych itd. W zasadzie postawienie sprawy zupełnie słuszne: ci, którzy mają, pomagają tym, co nie mają. W praktyce jednak rzecz nie przedstawia się tak prosto. Dla większości młodzieży szkolnej społeczna działalność samorządu to jedno więcej zajęcie szkolne, tak jak śpiew, gimnastyka i roboty. W jednej z wypożyczalni książek dla niezamożnej ludności dyżurowała młodzież z wyższych klas gimnazjalnych. Jednego dnia, w którym wypadało jakieś święto szkolne, nikt z dyżurnych nie zjawił się na dyżur. Po prostu nie przyszło im na myśl, że wypożyczalnia będzie czynna. Dyżury ściśle łączyły się w ich pojęciu z zajęciami szkolnymi: z chwilą, gdy nie było nauki, nie było i dyżurów. Zdarza się naturalnie, że w danej klasie znajdują się jednostki o silnym instynkcie społecznym, tak zwani urodzeni społecznicy. Ci rzeczywiście znajdują w działalności samorządowej pole dla swych zamiłowań społecznych i oddają się tej pracy z poświęceniem, często kosztem nauki szkolnej. Na tych jednostkach spoczywa cały ciężar, reszta to bierni widzowie występujący czynnie tylko w pewnych momentach. W natłoczonej sali gimnazjalnej odbywa się doroczne zebranie samorządu. W zupełnej obojętności przechodzą sprawozdania z dokonanej pracy, nikt nie dyskutuje, nikt się o nic nie pyta. Zbliża się moment wyborów do zarządu. Odczytana jest lista kandydatów i naraz martwa sala się ożywia, tworzą się grupy i grupki, atmosfera staje się gorąca — walka wyborcza rozgorzała w całej pełni.

Zewnętrzna praca społeczna młodzieży szkolnej kryje w sobie niebezpieczeństwo pewnego pozoru. To tak łatwo zrobić z siebie działacza społecznego kosztem paru dyżurów na miesiąc. A jednocześnie ten społecznik czy ta społecznica w tramwaju, czy na ulicy zachowaniem swoim wykazuje absolutny brak wychowania społecznego. Pomoc charytatywna stwarza niejednokrotnie niepożądane poczucie wyższości obdarowującego względem obdarowanego! Ileż razy zresztą daje się rzecz nie swoją w tym znaczeniu, że właściwie ofiarodawcami są rodzice.

Cóż więc należy robić? Kto wie, czy nie byłoby słuszne cały nacisk położyć na przygotowanie młodzieży do życia społecznego przez zwracanie uwagi na objawy tego życia, szukanie w dyskusji przyczyn i środków zaradczych. Praktycznie należałoby wyrabiać poczucie solidarności i ofiarność przez działanie w najbliższym otoczeniu: pomoc w naukach słabszemu koledze, pomoc w domu, zachowanie się w tramwaju względem młodszych i słabszych. Zewnętrzna praca społeczna powinna być uważana za coś wyjątkowego i realizowana o tyle, o ile wypływałyby ze spontanicznego zainteresowania samej młodzieży. Charakterystycznym przykładem jest tu akcja młodzieżowa, wywołana przez jakiś bezpośredni bodziec, jak np. pomoc podczas powodzi czy innej klęski żywiołowej,

pomoc w wypadku potrzeby, która zwróciła uwagę młodzieży. Taka akcja jest zwykle spontaniczna i budzi wielkie zainteresowanie i ofiarność. Metodę wewnętrznego wyrobienia społecznego, połączonego z gotowością niesienia pomocy w każdej chwili, stosują z powodzeniem drużyny harcerskie.

Jednakże decydującym bodaj czynnikiem będzie tu nastawienie domu. Jakkolwiek czasy są ciężkie, jednakże trzeba się zdobyć na wpojenie w młodzież przekonania, że istnieje coś większego, coś szlachetniejszego niż walka o byt. W domu, w którym jedynym tematem rozmów są troski materialne, w którym do każdego zagadnienia podchodzi się pod kątem jego „opłacalności", nie można mówić o altruistycznym wychowaniu. Trzeba dążyć do tego, by młodzież widziała w kolegach, w ludziach, z którymi się styka, bliźnich, a nie rywali, których za wszelką cenę trzeba zepchnąć i wyprzedzić. Życzliwe nastawienie do otoczenia, wyrabianie od najmłodszych lat przekonania, że żaden przejaw życia społecznego nie jest obojętny, zainteresowanie życiem innych ludzi, poczucie odpowiedzialności gromadnej, dążenie do wprowadzenia zasad etycznych w życie własne i zbiorowe — to jest fundament dla przyszłego uspołecznionego obywatela. *Irena Gombrowicz.*

Młodzież w organizacjach.

(do artykułu p. dr. Hoszowskiej w Nr. 3-im „Rodziny i Dziecka").

Niewątpliwie jest rzeczą ogromnie ważną, aby człowiek wchodzący w życie potrafił współpracować z innymi ludźmi, umiał postępować według norm życia zbiorowego, czuł się z nim związany — jednym słowem był uspołeczniony. Uspołeczniony czyli odpowiednio wychowany. Zadanie to spełnia w dużej mierze dzisiejsza szkoła. Jest ona tym środowiskiem, gdzie dziecko spotyka się po wyjściu z domu po raz pierwszy z miniaturowym społeczeństwem, z zespołem licznych, a często silnych indywidualności. Jednakże szkoła, mając zbyt wiele zadań, nie może sprostać wszystkim swym założeniom. Z pomocą jej przychodzą różne organizacje młodzieżowe.

W nich młodzież przygotowuje się do zagadnień społecznych, uświadamia sobie fakt, że w Polsce specjalne warunki wymagają odrobienia wielu zaległości, spowodowanych długotrwałą niewolą, a państwo nie może, a nawet nie powinno, wyręczać obywateli w pewnych pracach, że poczynania państwowe uzupełniane być muszą przez szeroką inicjatywę prywatną poszczególnych jednostek społeczeństwa.

Niestety wiele jednak z tych organizacyj nie daje tego, czegoby się po nich należało spodziewać, a częstokroć więcej przynoszą szkody niż korzyści. W licznych wypadkach młodzież wychowana przez takie organizacje kończąc szkołę zamiast być uspołecznioną, staje się, wręcz odwrotnie, aspołeczną, a nierzadko antyspołeczną. Wtedy praca szkoły, domu i organizacji idzie na marne. Lecz dlatego, że tak się dzieje, nie można potępiać, lub niedoceniać głębokich wartości organizacyj szkolnych, które w ten czy w inny sposób przysposabiają młodzież do przyszłego życia społecznego.

Należałoby tylko usunąć te wszystkie przyczyny, które wywołują niezamierzone skutki, jak zobojętnienie dla zagadnień społecznych, czasem wrogie ustosunkowanie się do nich lub odwrotnie: wypuszczanie t. zw. zawodowych społeczników, często gęsto nic nie umiejących, ale tupetem za to nadrabiających braki umysłu i charakteru.

Gdzie należy szukać przyczyn, że wiele z dzisiejszych organizacyj szkolnych młodzieży nie spełnia swego zadania? Mam wrażenie, że przede wszystkim szukać ich należy w zbyt różnorodnych formach organizacyjnych. Przeciętnie w każdej szkole jest od 10 do 20 organizacyj, a 50% uczniów, zwłaszcza klas wyż-

szych, należy przynajmniej do pięciu, jeśli nie więcej organizacyj [1]). Co się wtedy dzieje? Dziecko, z początku zainteresowane i oddane całą duszą nowym zagadnieniom, poświęca wszystkie swe wolne chwile na to inne życie w gronie najbliższych kolegów,z czasem jednak, należąc do coraz większej liczby organizacyj, zaczyna się nudzić, brakuje mu czasu, zaniedbuje się w innych swych obowiązkach szkolnych,wreszcie znużone walką z ułożeniem sobie odpowiednich warunków pracy — zniechęca się i odchodzi od pracy społecznej na długo lub na zawsze.

Do tego zniechęcenia walnie przyczynia się jeszcze pewien moralny przymus ze strony szkoły, która pragnąc jak najbardziej zbliżyć się do otaczającego życia, a nie rozporządzając odpowiednimi środkami, widzi zrealizowanie swych zamierzeń w pewnych stopniu w organizacjach młodzieżowych. Stąd płynie zainteresowanie się sfer nauczycielskich wszelkimi kółkami naukowymi, samorządami czy innymi organizacjami ideowymi, — jako środkami wychowawczymi, które umiejętnie stosowane, dają bardzo dobre wyniki, ale w niekompetentnych rękach mogą stać się niezmiernie szkodliwe. Młodzież bowiem ma to w sobie, że samorzutnie pragnie się zrzeszać, solidarnie występować, ale zmuszana do pewnych rzeczy, właśnie dla zaznaczenia swej siły zbiorowej często obraca się przeciwko szkole i nie mogąc inaczej zamanifestować swej odrębności — opuszcza jak najprędzej takie przymusowe zrzeszenia.

Także źle prowadzona praca, bezproduktywne marnowanie czasu na rzeczy znane ze szkoły lub skądinąd, np. referaty z zakresu zajęć szkolnych, ćwiczenia odbywane w domu, zniechęcają członków do dalszej działalności społecznej, tak jak i brak samodzielności — np. prowadzenie kółka nie przez uczniów, a przez nauczyciela.

Jeśli więc chcemy, aby ze szkoły wychodziła nie drobna grupka społeczników, ale cała młodzież, gruntownie uświadomiona społecznie, należy dążyć do tego, aby wszystkie dzieci należały do organizacyj szkolnych i wynosiły z pobytu w nich jak największe korzyści. W tym celu trzeba przede wszystkim znieść przymus, nawet moralny i pozwolić na dobrowolne należenie do nich (tak, jak w harcerstwie), ograniczyć liczbę organizacyj na terenie szkolnym lub przynajmniej żądać od ich członków, aby należeli do jednej, względnie niewielu organizacyj — wreszcie uzgodnić ich działalność, aby nie zachodziły na siebie, a w końcu dopuszczać do rozwoju tylko te związki czy koła, które rzeczywiście solidnie pracują, wykazując inicjatywę, samodzielność, poczucie obowiązkowości, zrozumienie założeń społecznych i właściwy dobór odpowiednich środków wychowawczych. W ten sposób uregulowane życie organizacyjne młodzieży istotnie będzie wychowywać przyszłych uspołecznionych obywateli państwa.

Maria Piskorska.

GŁOSY WYCHOWAWCÓW.

Niedokonsekwencje w wychowaniu domowym.

Przyczyną wielu konfliktów pomiędzy domem i szkołą jest cicha walka o prymat w kształtowaniu duszy dziecka. Przemiany gospodarcze i społeczne zdają się przesuwać na szkołę coraz silniej ciężar wychowania. Nie przechodzi to bez sprzeciwów rodziny. W sporze tym jednak szkoła, reprezentująca przemyślane metody wychowawcze i kierunek wychowania zgodny z interesem państwa, zdaje się zwyciężać.

Niemniej jednak w praktyce, rodzina wywiera nadal silny wpływ wychowawczy i uzgodnienie oddziaływań domu i szkoły leży w interesie społeczeństwa.

---

[1]) O ile nam wiadomo, władze szkolne zmierzają zdecydowanie do usunięcia przerostu organizacyj w szkołach i już dzisiaj można stwierdzić wyraźne dążenie, aby tylko uczeń istotnie czynny w danej organizacji mógł do niej należeć. (Przyp. Redakcji).

Najsilniej może szkodliwe rozbieżności uwydatniają się w zakresie metod wychowania. Tu szkoła może wskazać rodzicom na szereg momentów, których docenianie i należyte traktowanie przyczyni się do poprawy stosunków pomiędzy domem a szkołą, a przez ujednostajnienie oddziaływań wychowawczych zwiększy ich siłę i skuteczność, co przez obie strony będzie powitane z zadowoleniem tymbardziej, iż fakt ten nie pozostanie bez wpływu na podniesienie autorytetu obu czynników działających. Z zagadnień tego typu na szczególne omówienie zasługuje problem konsekwencji w wychowaniu domowym z punktu widzenia szkoły.

Wychowanie rodzinne, oparte na tradycji często bezkrytycznej, kryje w sobie znacznie więcej błędów niż wychowanie szkolne, które reprezentuje czynnik postępu, a sprawy wychowawcze nie mają należytego zrozumienia wśród wielu rodzin, pomimo swego olbrzymiego znaczenia.

Jeśli jednak w trudnych warunkach współczesnej nam doby pragniemy w naszych dzieciach wytworzyć harmonijne struktury psychiczne, odporne na destrukcyjne oddziaływania walki o byt, to wiele spośród starych prawd i wierzeń winniśmy poddać rewizji.

Wychowując „własne" dzieci pragniemy zrealizować w nich swoje marzenia, a zwłaszcza te, w których osiągnięciu przeszkodziła nam twarda dłoń życia. Często spostrzegamy, iż w zestawieniu z tymi ideałami dzieci są złe, że tak bardzo od nich odbiegają wbrew naszym wysiłkom.

Załamujemy ręce i często mówimy z żalem — „dlaczego nie jesteś takim jak ja, gdy byłem w twoim wieku!"

Jakże łatwo zapominamy o własnej przeszłości! Łatwo jest ubarwiać i „wypiękniać" przeszłość — tym łatwiej, że psychika ludzka posiada cenną właściwość zacierania przeżyć niemiłych i przykrych.

Realizując te „nasze" ideały nie wolno nam zapominać, że są one dzieciom całkiem obce i niezrozumiałe, że często tak samo były obce i dla nas w tym samym wieku, a jednak to ostatnie zwłaszcza tak łatwo się zapomina.

Czy postępujemy logicznie?

Jeśli przypatrzymy się „zabiegom" wychowawczym, stosowanym w przeciętnej rodzinie, to zobaczymy. że moc obowiązująca ideałów, którą narzuca ta rodzina dzieciom nie dotyczy wcale „dorosłych" jej członków.

Ideały te są opatrzone wbrew ogólnemu przeświadczeniu etykietą: Tylko dla dzieci!

Dzieciom kłamać nie wolno, bo to nieładnie, grzech, przestępstwo. Rodzice są w porządku, gdy niemiłemu gościowi oznajmiają przez służącą lub za pośrednictwem dziecka, iż są nieobecni lub popełniają wiele innych kłamstw, konwencjonalnych albo i niekonwencjonalnych.

Obmowa jest uważana również za poważne wykroczenie, nie przeszkadza to jednak wcale dorosłym członkom rodziny w ostrzeniu języków, najczęściej w obecności dzieci na osobie, która przed chwilą wyszła z pokoju.

Rozmowa o tak zw. „rzeczach nieprzyzwoitych" (sprawy seksualne) jest faktem karygodnym, gdy czynią to dzieci — miłą rozrywką dla dorosłych, zabawiających się opowiadaniem sobie pikantnych anegdotek w obecności dzieci, w błogim przeświadczeniu: „małe — nie zrozumie".

Alkohol i tytoń to przestępstwo u dziecka, u dorosłego rzecz normalna, a nawet więcej, — „dowód męskości".

A przymusowa religijność dziecka w zestawieniu z obojętnością religijną rodziców.

Cóż to? Dwie etyki jako podstawa życiowa? Nie! Jedna etyka o ogólnej ważności, ale obowiązująca w rzeczywistości tylko dzieci.

Oto kilka obrazków, bynajmniej nie wszystkie! Stwierdzają one jedno — zakłamanie się, niekonsekwencję, najczęściej zresztą nieświadomą.

Czy wynika stąd, iż należy pozwolić dzieciom na wszystko co robią dorośli. Rzecz jasna, że nie! Ale nie wolno dorosłym narzucać dzieciom zasad, których sami nie uznają i w które sami nie wierzą, gdyż dzieci nawet małe myślą trzeźwo, sprzeczności dostrzegają, — wynikiem jest poważne nadwyrężenie autorytetu rodzicielskiego, na razie ukryte, mogące jednak później doprowadzić do poważnych powikłań.

Mówiliśmy o ideałach i ich realizacji, zwróćmy uwagę na środki wiodące do tego celu, a więc szeroko stosowane sankcje karne.

„Jasiu! Nie skacz, nie właź na drzewo, bo nogę złamiesz!"

„Zosiu, nie krzycz w pokoju, bo pójdziesz klęczeć!" Albo, bo i to można spotkać, rozwścieczona „mamusia" wrzeszczy niesamowitym głosem: „Przyjdziesz — zbiję cię na kwaśne jabłko!" U ludzi mniej kulturalnych możemy usłyszeć nawet groźbę „zabije" i odpowiednie epitety w stosunku do własnego dziecka.

To przykłady typowe, ale nie najjaskrawsze.

Pogróżka polegająca na a) wyolbrzymianiu skutków naturalnych, b) przyrzekająca skutki sztuczne, nieprawdziwe. Pogróżki te to najczęściej wyładowanie rodzicielskiego gniewu z powodu takiego lub innego wykroczenia.

Jeśli się je wykonuje — to są one jakby wywarciem zemsty a nie oddziaływaniem wychowawczym; jeśli nie — wynikiem jest obniżenie powagi grożącego.

Znam wypadki, gdy dzieci wiedząc, iż matka nie potrafi uderzyć silnie, narzucały się: mamo, uderz mnie, uderz!

Jaka jest wartość wychowawcza takiej kary, jaka jest wartość pogróżki niewykonanej? Przecież to demoralizacja! A czcze pogróżki to poważna część naszych oddziaływań wychowawczych. Na usta ciśnie się pytanie: czy gdyby ktokolwiek tresując dzikie zwierzę popełniał tyle niekonsekwencji przy jego obłaskawianiu i ćwiczeniu, ile popełniają rodzice wychowując dziecko, to czy nie musiałby nader prędko zrezygnować ze swoich zamierzeń.

Myślę, że tak, i że jedynym gatunkiem wytrzymującym takie metody postępowania — jest człowiek. Poruszyłem tu tylko znikomą ilość wypadków. Nie wspomniałem o coraz to zmieniających się metodach wychowawczych, o niedotrzymywanych obietnicach i innych środkach, które mają przecież na celu wywołanie przyzwyczajenia do takiego a nie innego postępowania, albo świadomą, dobrowolną czynność, a które w rzeczy samej wywołują niezadowolenie, niechęć a niekiedy nawet nienawiść.

Od bicia przechodzi się do niewytłumaczonej niczem łagodności, która nosi czasem charakter bezradności lub niedołęstwa. Brak logicznie przemyślanej linii postępowania i nieumiejętność realizowania raz powziętego planu sprawiają to, że wychowanie domowe sprowadza się do ustawicznych, niepowiązanych z sobą improwizacji rodzicielskich.

Może w słowach tych jest nieco przesady, niemniej jest w nich też i ziarno prawdy, dotyczącej konfliktu pomiędzy zasadami a życiem, teorią a praktyką wychowawczą. Jak temu zaradzić? Jak zapobiec niekonsekwencjom w wychowaniu fizycznym, umysłowym i etycznym?

Odpowiedź jest tylko jedna: trzeba zrewidować swoje poglądy i porównać je z własnym postępowaniem, a niewątpliwie zmienią się i nasze zasady wychowawcze i unikniemy wielu niekonsekwencji, które popełniamy dziś z lekkim sercem.

M. Witkowski.

GŁOSY RODZICÓW.

W obronie szkoły i młodzieży.

Dom — szkoła — społeczeństwo: trzy stopnie w rozwoju każdego człowieka. Udane życie jednostki, poza indywidualnymi nieszczęściami, polega na zharmonizowaniu się z każdym z tych ośrodków, umiejętności wzięcia z nich dla siebie tego, co danemu osobnikowi dla rozwoju jest potrzebne, i w zamian oddania z siebie dla nich swej energii twórczej.

Szkoła to okres życia dwunastoletni, czas, w którym z dzieciństwa „sielskiego, anielskiego" przechodzi człowiek do młodości, o której przywykliśmy myśleć, że jest „górna". Tu charakter nie krystalizuje się jeszcze, ale już wytwarzają się ośrodki krystalizacyjne. Spokojna ale mocna praca w nastroju pogody i zaufania — to warunki konieczne, dla normalnego rozwoju psychiki młodzieńca.

Szkoła, przyjmując z rąk rodziców daną jednostkę — czyni z niej członka społeczeństwa. Na ogół dom z trudnością godzi się z tą nową rolą syna, czy córki. Dziecko do chwili wstąpienia do szkoły było słońcem domu, dziwiono się jego mądrości, powtarzano „bons mots", cieszono się z góry z efektu, jaki wywoła w szkole swym zjawieniem się. Tymczasem w szkole ów jedyny w domu, staje się jednym z czterdziestu. Czas mija, a zalet jego nie dostrzeżono; czas mija i... oceniono je ujemnie. Rodzice, którzy zostali na brzegu tej wielkiej wody, co im zabrała ich skarb, miotają się rozpaczliwie, oskarżają oczywiście szkołę o niesprawiedliwość, obojętność. Chcą krzyczeć, wypowiedzieć się. Boją się mówić wyraźnie z nauczycielstwem: „zaszkodzą dziecku!" Więc jak i gdzie?

I oto stworzyło się zjawisko nienormalne. Znaleziono miejsce dla wylewu żalów rodziców na łamach pism codziennych. Oskarżenia posypały się jak z rękawa. W imię górnych ideałów, pragnień serca, wskazań pedagogicznych przemycano osobiste żale nad swym rzekomo lub może i na prawdę pokrzywdzonym dzieckiem. Gdyby złożyć te wszystkie artykuły, od których roi się w pismach, powstałaby pokaźna góra. A przecież wartość takiego artykułu dla ogółu czytelników mierzy się przede wszystkim większą lub mniejszą dozą sensacji!

Ale tu stała się rzecz nierównie już gorsza. Ta trybuna otwarta dla każdego zachęciła różnych „nie rodziców" do załatwiania na tej drodze porachunków osobistych pod pokrywką troski o dobro młodzieży. Cóż łatwiejszego jak naświetlić odpowiednio jakiś małoznaczący fakt, przekręcić powiedzenie, czy wydąć plotkę — podać do wiadomości publicznej i zdyskredytować szkołę, kierownika, radę pedagogiczną? Dziś już w gazetach nie mówi się tylko o sprawach zasadniczych — ogólnych. Wyciąga się na światło dzienne nazwiska ludzi prawych i zasłużonych, obrzuca się ich kalumniami, — prowadzi się nagankę przeciw szkołom określonym, wytykając je publicznie palcem, korzysta się z oszczerstw jako materiału do artykułów.

Nie chcę tu poruszać sprawy bolesnej, przekreślenia przez autorów sensacyjnych artykułów ludzi zasługi, łamania życia pedagogów, którzy sterali się w służbie dla szkoły. Staję teraz tylko na stanowisku obrony szkoły, jako ośrodka wychowania naszej młodzieży.

Czy tak brzydka ingerencja prasy do spraw szkolnych nie jest potarganiem owej harmonii, jaka musi być między szkołą a uczniem, który uczęszcza do zakładu splugawionego, publicznie napiętnowanego? Jaka jest postawa dziecka w stosunku do nauczycielstwa, o którym czytało artykuły w gazecie obok sprawozdań o różnych brudach wielkomiejskich?

Młodzież musi się czuć dobrze w szkole, musi wierzyć swoim kierownikom,

odpłacać miłością tym, którzy dla niej pracują. Kto ma prawo podkopywać autorytet szkoły w ogóle (bo to jest krzywda nie jednej szkoły), zatruwać powietrze szkolne nienawiścią, stwarzać atmosferę brudnej plotki?

Społeczeństwo na ogół zdaje sobie sprawę z powagi szkoły. Na każde wezwanie o pomoc materialną sypią się hojne ofiary. Koncert na dochód młodzieży szkolnej ma zawsze powodzenie. Każdy z cicha sarka na „piłę", ale idzie, bo to dla szkoły, dla młodzieży.

Ale gdzież są ci wszyscy ludzie, gdy idzie o pomoc moralną szkole? Czy nikt nie zdaje sobie sprawy z krzywdy, wyrządzonej dziecku przez zaciekłość napaści, płynących ze względów osobistych, czy innych?

Dlaczego nie protestują patronaty szkolne, rodzice, nauczycielstwo? Jaka jest reakcja kompetentnych władz? Romantyczna polityka zbywania zła pogardliwym milczeniem — doprowadzi tylko do większego rozzuchwalenia.

Czy mamy przeżyć jeszcze cały szereg naganek, które kończą się w sądzie i jeszcze nie jeden raz widzieć młodzież szkolną przed kratkami, gdy świadczy za lub przeciw swym nauczycielom? Nie ma dość gorących słów, by potępić metody pism i autorów artykułów. Zbiorowy protest rodziców może położyłby tamę tym niezdrowym stosunkom.

Stefania Zawirska - Michalska.

Zdenerwowanie u młodzieży.

Nie chcę mówić o dzieciach szczególnie nerwowych albo o młodzieży, w której nerwowość chorobliwa pozostała z lat dziecinnych, o młodzieży wyjątkowo trudnej do prowadzenia, której wybryki, arogancja, zwierzęce pomysły są pozostałością jakichś szczególnych przeżyć i tragedii.

Chciałabym zastanowić się nad szerokim ogółem młodzieży, zdaje się zdrowej, wychowującej się bez szczególnych wstrząsów, a przeżywającej wiele momentów swego życia w szczególnie nerwowy sposób. Mam w tej chwili na myśli przygotowanie do matury, uzyskanie promocji do ósmej klasy lub jakiś egzamin wstępny do innej szkoły, liceum itp. Tutaj zjawia się zdenerwowanie, które przeróżnie wpływa na poszczególne osobniki: silniejsze starają się panować nad sobą i nie okazać nikomu swego zdenerwowania, ale to panowanie wyczerpuje niezmiernie; słabsze, anemiczne objawiają swe zdenerwowanie w sposób widoczny: płaczem, gwałtownym zaczerwienieniem się lub blednięciem, wreszcie omdleniem.

Czy starsi, to znaczy rodzice, opiekunowie i nauczycielstwo nie potrafiliby poddać rewizji swojego zachowania, swoich wymagań w takim właśnie wyjątkowym okresie życia młodzieży? Czy nie należałoby przyjść tej młodzieży z pomocą, usunąć mniej konieczne obowiązki, dać pomoc jeśli to możliwe, a nadewszystko unikać denerwujących odezwań, czasem nawet słusznych wymówek i odwrotnie — dać zdecydowaną,twardą odpowiedź w momencie, gdy zdenerwowanie doprowadziło do załamania się, niepotrzebnej rozpaczy lub zupełnej apatii.

Bywa niestety często taka sytuacja, że na to zdenerwowanie młodzieży nie ma rady, jakieś szczególne warunki domowe, bezrobocie, choroba przewlekła a nieuleczalna kogoś z rodziny lub śmierć, ale właśnie tym bardziej pozostali opiekunowie powinni otoczyć sercem i dopomóc do przetrwania smutku a z nim zdenerwowania.

Znam jednak różne nietakty, odezwania się i rozporządzenia, a czasem rady, pochodzące „z dobrego serca", które rozdrażniają, pognębiają, a zawsze potęgują zdenerwowanie.

Znam nauczycielkę, która powiedziała zdenerwowanej dziewczynie przy maturze, że „nie możesz uzyskać świadectwa dojrzałości, skoro nie umiesz się

opanować". Zapewne, że byłoby lepiej, gdyby się umiała opanować, ale czy dużo nauczycieli jest zupełnie zrównoważonych?

Inną nauczycielkę, która wprowadziła od początku roku połowę klasy w zdenerwowanie powiedzeniem, że nie mogą zdawać matury z jej przedmiotu, gdy one właśnie się do tego egzaminu przygotowywały.

Matkę, — która dowodziła w obecności córki, że „moja córka nie przeżyje niezdanej matury".

Ojca — który ciągłymi uszczypliwymi docinkami na temat promocji do ósmej klasy, doprowadził chłopca do poważnych zaburzeń organizmu na tle nerwowym.

Innego ojca — który urządzał systematyczne awantury chłopcu, który nie zdał matury i przygotowywał się do powtórnego egzaminu jako eksternista.

Poruszana wielokrotnie na łamach różnych pism, a również w „Rodzinie i dziecku" sprawa nie udzielania ocen za odpowiedzi uczniom, tylko odkładanie stopni do „wywiadówki" półokresowej lub okresowej, jest przecież znakomitym sposobem na wprowadzenie trzy czwarte klasy w okropne zdenerwowanie, bo tylko uczniowie leniwi, bez ambicji lub najzupełniej lekkomyślni nie interesują się wynikami swej pracy i obojętnie czekają do uzyskania stopni, nie martwiąc się o zły wynik.

Tak samo zatajanie pewnych już wiadomych rezultatów posiedzenia rady pedagogicznej do uroczystego zebrania rodziców i utrzymywanie młodzieży przez tydzień lub dwa w napięciu jest przecież nikomu i na nic nie potrzebne.

Znam też nauczycielkę, która na zapytanie uczennic w końcu roku szkolnego: ile ich w klasie pozostawiono na rok następny, odpowiedziała: „może 5 a może 6", gdy tymczasem nie zostawiono ani jednej. Pocóż było te dziewczęta utrzymywać choćby przez trzy dni w tym okropnym zdenerwowaniu?

Często przez takie nieopatrzne zachowanie się nauczycieli czy rodziców, jednostki skłonne do histerii popadają w atak płaczu, mdleją, dostają wysypki. Wszystkie te objawy najokropniej wpływają na ich otoczenie, potęgują zdenerwowanie całej klasy i stwarzają wielki wysiłek dla młodzieży, która pragnie się opanować. Takie warunki pracy są dla młodzieży niezmiernie ciężkie, a zadaniem rodziców, nauczycieli i opiekunów jest przyjście jej z pomocą, drogą łatwego zresztą opanowania własnych nerwów i taktownego a serdecznego zachowania się w każdej odpowiedniej chwili.

W. D.

Po maturze czy po wyższych studiach?

Otrzymaliśmy szereg listów od naszych czytelników z zapytaniami, kiedy lepiej jest dla chłopców odbywać służbę wojskową: zaraz po maturze czy też po skończeniu studiów wyższych. Chcąc udzielić w tej sprawie możliwie obiektywnych informacyj, redakcja zwróciła się do kilkunastu młodych ludzi, którzy już odbyli powinność wojskową, aby zechcieli podzielić się swymi uwagami w tej dziedzinie. Spośród wielu nadesłanych odpowiedzi zdecydowana większość skłania się ku zdaniu, że lepiej odsłużyć wojsko zaraz po maturze. Jednakże, jak w każdej sprawie, tak i tutaj, są plusy i minusy. Poniżej przytaczamy niektóre z ciekawszych odpowiedzi, omawiające właśnie owe „za" i „przeciw" obu ewentualności.

Pan W. O. pisze:

Argumenty przemawiające za odsłużeniem wojska zaraz po maturze:

1. Młodszemu łatwiej się nagiąć i dostosować do rygorów wojskowych, zwłaszcza, że ma jeszcze świeżo w pamięci ograniczenia i normy szkolne, aczkolwiek może bardzo lekkie, jednak konsekwentne w działaniu.

2. Młodemu chłopcu czas mniej się dłuży w wojsku, bo przedmioty wojskowe bardziej go interesują i przejmują.

3. Dojrzewa życiowo.

4. Po powrocie z wojska lepiej ocenia wartości pracy ludzkiej.

Argumenty przeciw wczesnemu odsłużeniu wojska:

1. Im chłopak starszy, tym łatwiej radzi sobie życiowo w wojsku, jest bardziej obyty z ludźmi, więc i przez nich lepiej bywa traktowany. Na praktyce w pułku starszy ma większy szacunek u szeregowców, niż młodzik, którego „kiwają".

Pan K. W. uważa, że chłopiec powinien iść do wojska zaraz po maturze. O ile studia, które obiera wymagają egzaminu konkursowego, to egzamin stanowczo zdawać przed wojskiem raz dla tego, że w razie „oblania" można po powrocie jeszcze raz go powtórzyć, a po drugie, że wiele z umiejętności nabytych w szkole zapomina się szybko i po powrocie trzeba się dużo uczyć, a czasu może nie starczyć.

A oto opinia pana H. L.: „Oczywiście tylko zaraz po maturze! Wtedy wszelkie wysiłki fizyczne łatwiej jest znieść, chłopak rozwija się fizycznie w dobrych warunkach, bo na powietrzu, zamiast stać pokrzywiony w kreślarni czy dusznym laboratorium.

Życiowo wyrabia się samodzielność, zaradność, orientacja. Matki skarżą się czasem, że wojsko „demoralizuje". To stanowczo nieprawda. Warunki wojskowe raczej utrudniają rozwój tego rodzaju skłonności.

Należy podkreślić, że młodzież chętniej się uczy po tak całkowicie odmiennym trybie życia.

Jest jeden minus, że później ma się zajęte wakacje na ćwiczenia, nie można ich więc wykorzystać na ewentualne praktyki wakacyjne.

Ale gdy do wojska pójdzie się później, po skończeniu studiów, gdy człowiek jest już dorosły, z pewnym nastawieniem do życia, z wyrobionym światopoglądem, wtedy trudno jest nagiąć się do rygoru i podporządkować oddziaływaniu wojska. Człowiek odczuwa pewnego rodzaju upokorzenie, zwłaszcza, że przecież często młody porucznik jest „władzą absolutną". Za to będąc starszym, a więc tym samym mądrzejszym życiowo, człowiek łatwiej sobie radzi. Łatwiej mu przyswoić wiedzę wojskową, bo ma już umysł rozwinięty, wprawiony do tego na wyższych studiach, które rozwijają umiejętność uczenia się. To przemawiałoby za późniejszym pójściem, ale argumentów przemawiających za tym jest znikomo mało. Jeszcze jeden minus: ponieważ każdy do służby czynnej musi do oznaczonego wieku odbyć przewidzianą ilość ćwiczeń, dlatego im później odbędzie służbę, tym częściej będzie powoływany.

Pan F. Z. jest najzaciętszym przeciwnikiem odbycia służby wojskowej później i tak kończy swoje uwagi: „człowiek wraca mocny, opalony, silny fizycznie, ale wszystko mu z głowy wyleciało podczas wojska i dopiero wiele rzeczy musi robić na nowo. A mniej ich do zrobienia na początku studiów, niż w środku lub po skończeniu, gdy nie można tak „na surowo" przychodzić do pracy zarobkowej".

Pan St. R. kończy z humorem: „jak człowiek na twardym sypia lub nie sypia czasem i frykasów nie jada, to jak wróci — ho, ho! ani mu w głowie grymasić i umie on ocenić wygody. Jeszcze jak! Wszystkich, a szczególnie owe „maminsynki" dać prędko do wojska zaraz po maturze! Już tam dadzą im radę, a jak wrócą to w duchu będą wdzięczni za dobrą „szkołę", bo z mazgajów i cherlawców zmienią się w jednostki zahartowane fizycznie i psychicznie".

Liceum Ogólnokształcące.

Dnia 15 kwietnia r. b. odbyło się w Warszawie międzyszkolne zebranie rodziców, zorganizowane przez Koło Przyjaciół mies. „Rodzina i Dziecko", na którym p. nacz. Wydz. Programowego Min. W. R. i O. P. dr Bogdan Suchodolski wygłosił odczyt p. t. „Liceum Ogólnokształcące".

Jakie zainteresowanie budzi ta sprawa w społeczeństwie dowodzi najlepiej, że na zebranie — pomimo powszechnych narzekań i użalań się na apatię i bierność rodziców w sprawach wychowawczych — przybyło ponad 250 osób.

Po ukończeniu czteroletniego gimnazjum, mówił prelegent, przed uczniem stoi obecnie cały szereg możliwości. Może od razu szukać pracy zawodowej lub, wybrawszy sobie zawód, uczyć się w szkole zawodowej typu licealnego, może wstąpić do liceum pedagogicznego lub wreszcie, z myślą o wyższych studiach, kształcić się w jednym z czterech typów liceum ogólokształcącego: klasycznym, humanistycznym, matematyczno-fizycznym lub przyrodniczym.

Przed młodzieżą i jej rodzicami staje konieczność rozstrzygnięcia wątpliwości w następujących sprawach: Czy młodzież ma się dalej kształcić? Czy ma wstąpić do szkoły zawodowej? Jakie trudności oczekują młodzież w liceum ogólnokształcącym? Jak tam będzie pracować? Kto powinien wstępować do tej uczelni? Jaki jest charakter przyszłego liceum? W jakim sensie ujmujemy słowo ogólnokształcące? Co należy nazywać wykształceniem ogólnym?

Starając się odpowiedzieć na powyższe wątpliwości, omówił prelegent cele liceum ogólnokształcącego. Są one następujące: kształcenie sprawności umysłowej w ogóle, dostarczenie odpowiedniego zasobu solidnej wiedzy, wyrabianie umiejętności posługiwania się zdobytą wiedzą oraz pogłębianie intelektualnego i uczuciowego związku z kulturą narodową.

Zakres wiedzy ma już dzisiaj tak wielkie rozmiary, że uczeń w ciągu 2 lat (liceum) nie zdąży przyswoić sobie niezbędnego jej minimum, o ile w programie nie dokona się odpowiednich selekcji i skrótów. Należy więc wydobyć odpowiednie składniki, które są potrzebne do wytworzenia sobie pewnych poglądów w różnych dziedzinach wiedzy, do ustalenia poglądu na świat, do uporządkowania własnych myśli oraz indywidualnych przeżyć duchowych.

Wiek, w którym młodzież będzie wstępowała do liceum, jest psychicznie ciężki dla młodzieży — wytwarza się w tym okresie jej stosunek do społeczeństwa, do państwa, do otaczającej rzeczywistości. Chodzi o to, aby wiedza, którą liceum ma dostarczać młodzieży, nie była martwa, ale żeby dawała materiał do formującej się postawy życiowej. Wiedza, która ma mieć wpływ na poglądy życiowe, musi być związana z życiem kulturalnym i społecznym naszego narodu, musi informować o świecie, musi dawać problemy, z którymi człowiek będzie miał do czynienia w życiu w sposób nieunikniony.

Ponieważ ilość materiału, który ma być przerobiony w liceum, jest duża, nauka będzie trudna. Uczniowie będą musieli samodzielnie pracować. Przytem pracowitość i dobra pamięć nie wystarczy. Konieczna będzie zdolność do żywego zainteresowania się zagadnieniami naukowymi. Młodzież o praktycznych zainteresowaniach nie będzie odpowiednia dla szkoły tego typu.

W każdym z czterech wyżej wymienionych typów liceów na inną grupę przedmiotów będzie położony specjalny nacisk. A więc w liceum klasycznym — język łaciński, grecki, polski i historia; w liceum humanistycznym — język ojczysty, język obcy, historia, łacina; w liceum matematyczno - fizycznym będą silnie reprezentowane te wszystkie przedmioty, które były upośledzone w poprzednich, a więc matematyka,

fizyka z astronomią, chemia z mineralogią i geologia. W liceum przyrodniczym, gdzie nacisk będzie położony na przyrodę żywą — biologia, chemia (organiczna), geografia z mineralogią i geologia. W wydziale tym będzie matematyki mniej niż w poprzednim.

Wszyscy kończący liceum, niezależnie od obranego wydziału, posiadać będą dostateczny zasób wiedzy ogólnej, który zasadniczo pozwoli na studia wyższe w dowolnej dziedzinie. W planach godzin wszystkich wydziałów występują prawie te same przedmioty nauczania — różnice polegają na i l o ś c i g o d z i n i c z ę ś c i o w o n a z a k r e s i e m a t e r i a ł u. Niektóre przedmioty posiadają te same liczby godzin i jednakowy program we wszystkich wydziałach (religia, zagadnienia życia współczesnego, filozofia).

Zróżnicowanie na wydziały przeprowadzone zostało wyłącznie ze względu na potrzeby indywidualnego pogłębienia wykształcenia ogólnego, a nie ze względu na specjalizację naukową lub zawodową, przedwczesną w tym wieku.

Podział ułatwi równomierne rozmieszczenie wielkiej ilości wiedzy, którą musimy dostarczyć młodzieży. Będą grupy ludzi, którzy w jednych dziedzinach będą umieli więcej, inni w drugich. Mając wiele godzin w tygodniu jednego przedmiotu, można go pogłębić, lepiej przygotować się do studiów uniwersyteckich.

Liceum tworzy się dlatego, że w tym wieku już zarysowują się zdolności i zamiłowania młodzieży, objawy specjalizowania się uzdolnień i chęci. Stąd wniosek, że w liceum dobrze będzie się czuł tylko ten, kto wybierze odpowiedni dla siebie typ szkoły. Podział ułatwi pracę młodzieży, która trafnie wybierze sobie typ licealny, utrudni temu, kto nierozważnie wybierze wydział. Praca musi się układać przyjemnie, miło.

Jeżeli młodzież ma już pewne zamiary do ukształtowania swojej przyszłości zawodowej, jeżeli ma wybitne zdolności — nie będzie w decyzji trudności. W tych natomiast wypadkach, kiedy młodzież wstępując do liceum, nie ma jeszcze decyzji co do swojej przyszłości zawodowej — powstają trudności.

Jakie wyjście, jeżeli ktoś skończy liceum danego typu, a woli iść inną drogą? Przewiduje się, że np. wychowankowie liceum humanistycznego będą mogli wstępować na politechnikę. Będzie prawdopodobnie obowiązywał egzamin dodatkowy.

Ta sprawa nie jest jeszcze uregulowana, ma być ustalona w ciągu najbliższych 2 miesięcy.

Nie jest przewidziane czy liceum będzie się kończyć egzaminem w rodzaju dzisiejszej matury, czy innym, czy też żadnym. Ta sprawa też nie jest jeszcze określona.

Praca w liceum będzie miała charakter zupełnie różny od tego, do jakiego się uczeń przyzwyczaił w gimnazjum. W liceum ogólnokształcącym będzie miejsce tylko dla uczniów bystrych, inteligentnych, odznaczających się żywą umysłowością i zdecydowanym zamiłowaniem do nauki.

Kto miał mierne powodzenie w gimnazjum — nie da sobie rady w liceum. Pierwsza klasa licealna nie będzie tylko klasą wyższą o rok przy tej samej metodzie nauczania — trzeba będzie pewnego skoku, podciągnięcia się do innego systemu nauki o charakterze zdecydowanie intelektualnym.

Za to w liceach zawodowych rozbieżności z systemem nauki w gimnazjach nie będą tak wielkie, ponieważ będzie tam dominowało praktyczne nastawienie w nauczaniu.

Niezmiernie interesującego odczytu wysłuchano z wyjątkową uwagą i skupieniem, zdając sobie doskonale sprawę z powagi zagadnienia, którego realizacja wkroczy już niebawem w najbliższe zainteresowania rodzicielskie.

Na liczne zapytania i indywidualne wątpliwości w poszczególnych wypadkach prelegent dawał wyczerpujące odpowiedzi.

Przed rozejściem się obecni zwrócili się z prośbą do inicjatorów zebrania o zorganizowanie w najbliższej przyszłości odczytu informacyjnego o Liceach Zawodowych.

Instytut Higieny Psychicznej.

Dr Al. Carrel w głośnej swej książce „Człowiek nieznany", (która ma się niedługo ukazać w polskim przekładzie), stwierdza, że o ile stan zdrowotności w krajach cywilizowanych podnosi się z roku na rok, dzięki postępom medycyny i higieny, o tyle stan zdrowia psychicznego w tych krajach coraz bardziej jest zagrożony, coraz bardziej mnożą się choroby umysłowe i nerwowe. Autor, wybitny lekarz i uczony, bije na alarm, wzywając do pogłębienia wiedzy o człowieku, do zwrócenia baczniejszej uwagi na jego życie duchowe. Jak potrzebna jest profilaktyka w dziedzinie higieny ogólnej, tak niezbędna jest ona i w dziedzinie zdrowia psychicznego.

Rozumieją tę potrzebę nasze władze oświatowe: przejawia się to w wielkiej wadze, jaką przywiązują do poradnictwa psychologicznego, w dążeniu do pokrycia całego kraju siecią poradni, do zapewnienia każdej szkole własnego psychologa szkolnego. W organizacji poradnictwa psychologicznego Polska zajmuje wśród innych krajów jedno z miejsc przodujących.

Jedną z doniosłych placówek na polu tej pracy jest Instytut Higieny Psyhicznej, którego pożyteczna działalność mało jeszcze jest ogółowi znana. Powstał on jako dział Państwowego Instytutu Higieny, z funduszów Ministerstwa Opieki Społecznej przy poparciu Fundacji Rockefellerowskiej.

Mieści się on na uboczu, przy ul. Puławskiej 91, ale nie tuż od frontu. Trzeba zejść po schodach z wysokiego zbocza, a potem dobrze uważać na strzałki i tabliczki, żeby trafić do nowoczesnego, jasnego, pełnego słońca budyneczku, który jest siedzibą Instytutu.

Instytut prowadzi od początku swego istnienia ambulatorium dla dzieci „trudnych do wychowania", nerwowych, zatrzymanych w rozwoju. Kierują tu je instytucje społeczne i szkoły, kieruje duchowieństwo z Warszawy, jak i z prowincji, nieraz dalekiej, zgłaszają się i ludzie prywatni ze swymi kłopotami wychowawczymi. Dziecko trafia tu odrazu w atmosferę życzliwości i zrozumienia. Jestem pewna, że rozumny i dobry uśmiech „pani doktór" budzi w nich odrazu ufność, że szybko przezwyciężają nieśmiałość, że dadzą łatwo wciągnąć się w szczerą gawędę.

Opowiadano mi właśnie o wypadku z ostatnich dni. Dziewczynka z prowincji, ze wsi, córka niezamożnych rodziców. W szkole powszechnej uczyła się na same piątki. Dostała się do gimnazjum. Ucząc się bez żadnej pomocy, miała tu stopnie dobre i dostateczne: to świadczy o dużej pilności i chęci do pracy. I nagle, ze względów materialnych, rodzice odebrali ją ze szkoły. Dziewczynka popadła w rozstrój nerwowy. Nie jadła, nie spała. Kiedy jej mówiono o szkole, do której już pójść nie miała, wpadała w szał, rzucała się, szarpała na sobie ubranie. „Wariatka", stwierdzili rodzice, znajdując w domniemanej chorobie jeszcze jeden pretekst, żeby dziecka do szkoły nie posyłać. Wreszcie, dzięki perswazji księdza, przywieziono ją do Instytutu. Jakże uszczęśliwiona była, gdy jej tu powiedziano, że jest najzupełniej normalna. Nie chciała wierzyć w pierwszej chwili!.

Po rozmowie z matką i wyjaśnieniu jej sytuacji, udało się uzyskać od niej przyrzeczenie, że dziewczynkę pośle do szkoły. Przełożona gimnazjum ofiarowała jej mieszkanie u siebie. I tak, dzięki poradni, dziecko odzyskało spokój ducha i możność powrotu do ukochanej nauki.

Oprócz porad ogólnych, ambulatorium ma specjalny dział porad dla zaburzeń mowy, prowadzony przez wybitną specjalistkę w tej dziedzinie. Istnieje również osobna poradnia dla epileptyków.

Ambulatorium stara się współdziałać z rodzicami. Pielęgniarka społeczna, wykwalifikowana w tej dziedzinie, a przytem pełna serca, taktu i umiejętności postępowania z ludźmi, odwiedza rodziny pacjentów, zamieszkałe w Warszawie. Czasami uda się namówić na długą rozmowę z „panią doktór" najpierw matkę, a potem, jeśli trze-

ba i ojca. Takie porady rodzinne przyczyniają się nieraz nie tylko do poprawy losu „trudnego” dziecka, ale i do przywrócenia harmonii w rodzinie.

Trzeba dodać, że Instytut udziela porad psychologicznych również i dorosłym. Oby zgłoszeń było jaknajwięcej, oby szczególniej rodzice uciekali się do pomocy psychologów, kiedy czują, że coś z ich nerwami nie jest w porządku. Ileż to zaburzeń nerwowych u dzieci ma swe źródło w błędach wychowawczych rodziców, jak wielkiej niedoli dziecięcej możnaby zapobiec przez odpowiednie uświadomienie ojców i matek. Słusznie powiedział psycholog wiedeński, dr. Redl, na ostatnim Kongresie Ligi Nowego Wychowania, że gdyby istniały poradnie psychologiczne dla rodziców, zbędne stałyby się poradnie dla dzieci. A trzeba dodać, że cena porad w Instytucie jest niska: 4 zł dla dzieci, 3 zł dla dorosłych.

Specjalny dział Instytutu stanowi oddział neuropsychiatrii i pedagogii leczniczej, o charakterze szpitalnym. Gości tu sporo dzieci, od kilku do kilkunastu lat, dzieci, wymagających specjalnej obserwacji i dłuższego leczenia. Niektóre chodzą stąd do szkoły, uczą się lub bawią na miejscu.

Różnych tu można zobaczyć pacjentów. Oto na ładnej, widnej salce bawi się kilku sporych chłopców pod opieką pielęgniarki. Są ufni i weseli. Biorą nas za ręce, pokazują z wielkim przejęciem swoje konstrukcje z klocków. To chłopcy niedorozwinięci umysłowo. Bawią się jak małe dzieci. Wyrabia się u nich sprawność oka i ręki przez slojd, wyszywanki, roboty stolarskie, do których dzieci tutejsze mają specjalny warsztat.

Małe dzieci bawią się osobno. Wogóle, trzeba czasem izolować niektóre jednostki bardziej niespokojne, lub też mogące robić na innych dzieciach przykre wrażenie. Są pacjenci, którzy muszą sypiać sami: ci mają do dyspozycji własne pokoiki. Wszędzie jest jasno i czysto. W lecie bywa dużo kwiatów. Przed gmachem instytutu jest ogród, w którym dzieci mogą biegać, bawić się w różne gry, pracować. Na przyszły rok Instytut ma otrzymać na swój użytek jeszcze drugi, bliźniaczy budynek opodal. Wtedy będzie mógł powiększyć liczbę pensjonariuszy.

A pobyt jest tutaj nieraz błogosławiony w skutkach. Oto dziewczynka 14-to letnia, prawie głucha. Dzięki kuracji słyszy coraz lepiej, uczy się mówić. A tamten chłopczyk 10-cio letni, uchodził za głuchoniemego, ale po zbadaniu okazało się że słuch ma, tylko słaby. Jest leczony specjalnymi przyrządami elektrycznymi i słuch mu się poprawia. Mówi też coraz lepiej i kto wie, czy nie mówiłby wcześniej, bo dawniej słuch miał lepszy, ale ojciec go bił, strasznie bił, widząc w tym zabiegu jedyne lekarstwo na „głupotę” dziecka, czy też mszcząc się nad nim za jego upośledzenie. Teraz, zdala od domu, chłopczyk rozwija się szybko: będzie mógł wkrótce uczęszczać do normalnej „prawdziwej” szkoły.

Oprócz oddziału internatowego i ambulatoriów, Instytut prowadzi nadzwyczaj ważny dział propagandowo-oświatowy. Wydaje broszurki, omawiające w sposób przystępny dla rodziców fazy rozwojowe dziecka i zagadnienia wychowawcze. Urządza wykłady, kursy specjalne dla lekarzy, wychowawców i rodziców.

Obecnie np. co czwartek odbywają się w instytucie wykłady popularne z dziedziny wychowania, na które chętnie uczęszczają rodzice z dzielnicy Mokotowskiej. Podobne kursy dla rodziców z proletariatu projektowane są również na innych peryferiach miasta.

W kwietniu rozpoczął się w Tow. Higienicznym na Karowej cykl wykładów na wyższym poziomie dla rodziców i wychowawców (patrz Nr 3 „Rodziny i Dziecka”).

Instytut pragnie w jak najszerszym zakresie współpracować z rodzicami, szerząc wiedzę o dziecku, pomagając im unikać błędów wychowawczych, które tak ciężko

mszczą się na zdrowiu psychicznym rozwijających się jednostek. Piękne to i wielkie dzieło, którego doniosłość coraz szersze znajduje zrozumienie wśród ludzi światłych i myślących w naszych społeczeństwie.

Umuzykalnienie dziecka.

Bardzo ciekawą próbę umuzykalnienia dzieci przeprowadzono w jednej ze szkół żeńskich powszechnych w Warszawie. Inicjatywa ta jest godna naśladownictwa, gdyż wykazała, że w krótkim czasie, nawet najbardziej upośledzone dzieci wyrabiają sobie słuch i zaczynają samodzielnie śpiewać. Jest to niezmiernie ważna rzecz zważywszy na to, że ogół mieszkańców Polski jest, niestety, mało muzykalny, co nie świadczy przecież dobrze o naszej kulturze artystycznej w tym kierunku.

Otóż we wspomnianej szkole zaprowadzono na jesieni 1936 r. dodatkowe, dobrowolne lekcje rytmiki. Dzieci z Powiśla chętnie uczyły się tańczyć, przytem zaś otrzymywały wskazówki, jak dobrze się trzymać, wdzięcznie poruszać, ładnie kłaniać, uczyły się dobrej wymowy, miłego modulowania głosem (to zwłaszcza niezmiernie podobało się dziewczynkom wiecznie rozkrzyczanym w najwyższym świdrującym tonie) a obok tego łatwych melodyjnych piosenek. Wszystko to podane w jaknajprzystępniejszej formie zabawy, przeplatanej rytmiczną gimnastyką i niemęczącym tańcem plastycznym, jak również ćwiczeniami wyrabiającymi wyobraźnię artystyczną.

M. P.

Na wspólnym froncie.

Z działalności odczytowej Sekcji Samokształceniowej Koła Rodzicielskiego przy gimnazjum Tow. Ośw. „Unia" w Warszawie.

Zorganizowana w r. b. Sekcja Samokształceniowa przy Kole Rodzicielskim gimnazjum „Unia" miała za zadanie wzmożenie zainteresowania Rodziców sprawami wychowania dzieci i młodzieży, a przede wszystkim podjęcie i kontynuowanie pracy nad pogłębieniem i urobieniem „jednolitego frontu wychowawczego" wśród rodziców.

Wspólna praca nad zrozumieniem i pokonaniem trudności wychowawczych, wzajemne poznanie i zbliżenie Rodziców było naszym dążeniem w momencie rozpoczęcia pracy.

W b. roku szkolnym udało nam się zrealizować zaprojektowany cykl wykładów z dziedziny psychologii i pedagogiki. Plan odczytów obejmował najbardziej interesujące zagadnienia wychowawcze, budząc żywy oddźwięk wśród licznych słuchaczy-Rodziców oraz osób zaproszonych z poza terenu szkoły.

Dwa pierwsze wykłady omawiające psychologiczne podstawy harcerstwa oraz fazy rozwoju psychicznego — były niejako szeroko ujętym wstępem do następnych, wprowadzały bowiem słuchaczy w trudną dziedzinę psychologii młodzieży.

W ślad za nimi ukazały się następne nie mniej interesujące: „Psychopatologia dziecka" — „O wpływie alkoholu i narkotyków na rozwój dziecka" — „Psychologia religijności dzieci i młodzieży".

Na zakończenie temat, nurtujący od dawna umysły Rodziców: „Zagadnienie powodzenia szolnego a drugoroczność", który pobudził słuchaczy do szerszej, wyjątkowo gorącej dyskusji.

Mamy nadzieję, że skromny zakres dotychczasowej działalności Sekcji Samokształceniowej, rozwinie się szerzej z rokiem przyszłym w miarę wzrastania, dziś już widocznego, zainteresowania Rodziców.

Dobro i przyszłość dzieci naszych leży w rękach rodziców i szkoły — sekcja zaś nasza pragnie się stać ogniwem, łączącym wspólne ich wysiłki.

A. Oderfeldówna. M ł o d z i e ż p r z e d m i e ś c i a. *Z badań ankietowych na Ochocie.* Skład główny „Nasza Księgarnia", Warszawa 1937. Instytut Spraw Społecznych — Sprawy Rynku i Bezrobocia Nr 11.

To pewno coś strasznie ciężkiego, coś dla specjalistów? Wyniki badań ankietowych, tablice, cyfry, statystyka...

Nie, to głos żywego życia, to głos powszedniej, a tak smutnej, tak strasznej rzeczywistości, obraz warunków, w jakich bytuje, pracuje, uczy się, lub też wałęsa się w bezcelowej apatii bezrobocia młodzież warszawskiego przedmieścia. Książka równie żywa i życiowa, jak „Ci ludzie" Boguszewskiej, lub „Dziewczęta z Nowolipek" Gojawiczyńskiej, tylko że tu rzeczywistość przemawia bezpośrednio, a nie przez pryzmat spojrzenia artysty.

Badana młodzież podzielona była na dwie grupy: Grupa P, to młodzież z rodzin „podopiecznych" tj. korzystających z pomocy dla bezrobotnych, a więc środowisko nędzy największej, gdzie często nie ma co jeść, w co się przyodziać, więc rodziny nędzy zawodowej lub rodziny wykolejone przez bezrobocie,

Z tej grupy rekrutują się dzieci „trudne", dzieci uchodzące za niezdolne w szkole. Bo i jak tu się uczyć, kiedy nie ma na książkę, kiedy dokucza głód i zimno, kiedy wstyd własnych łachmanów przed lepiej ubranymi kolegami?

O dokształceniu mało które z tej młodzieży myśli, niejeden nawet nie wie o istnieniu jakichś kursów dokształcających, nic też dziwnego, że skąpe wiadomości szkolne idą w zapomnienie i uczeń, który po dwa lata siedział w klasie i opuścił szkołę powszechną po przejściu 2-ch lub 3-ch klas wraca do stanu półanalfabetyzmu.

Młodzież grupy S — to byli absolwenci szkół powszechnych. Tu już i środowisko nieco dostatniejsze, i wpływy szkoły utrwaliły się lepiej, tu już nie grozi wtórny analfabetyzm.

Kto jednak z tej grupy, kosztem niebywałych wysiłków, nieraz ciężkich ofiar rodziców, dostanie się do szkoły średniej, ten z trudem w niej sobie daje radę. Bo to i koledzy „zadzierają nosa", i są przeważnie znacznie młodsi, i nauka jest trudniejsza, a dom żadnej pomocy dać nie umie; pomoc zaś jest niezbędna, gdy się przechodzi ze szkoły powszechnej do średniej, przynajmniej w pierwszym roku.

A praca młodocianych? Jest to przeważnie praca bezplanowa, bez nadziei na przyszłość. Chłopcy z grupy P najczęściej pomagają ojcom, noszą cegły na budowach, furmanią, ale skoro tylko dorosną i będzie im się należała lepsza płaca, stracą zajęcie, a na ich miejsce przyjdą inni, młodsi, tańsi. Dziewczęta idą przeważnie do służby, co jest uważane za rzecz najgorszą — już o wiele lepsza praca w fabryce. Wszystko zresztą jedno, byle pracować, byle się najeść i pomóc rodzinie.

Z pośród absolwentów szkoły powszechnej chłopcy idą przeważnie na gońców, dziewczęta na ekspedientki. Nędzna to praca, strasznie wyzyskiwana, bez nadziei na przyszłość. O redukcję łatwo, a nieraz nieuczciwy lub zbankrutowany pracodawca nie zapłaci wcale. Co innego jak się ma „protekcję". Wtedy można się dostać do pracy „lepszej", nauczyć się jakiegoś fachu...

Bezrobotni rzadko czas swój zapełniają dokształcaniem się. Bo i poco? I tak pracy to nie da. Wałęsają się, włóczą po polach ochockich. Wielu zajmuje się sportami. Sport jest najłatwiejszą, najefektowniejszą drogą do wybicia się, do zaznaczenia własnej wartości. Wielu młodych marzy o karierze lotniczej lub filmowej. Te marzenia — to „pożywka dla przyszłych łazików".

Z potrzeb kulturalnych na pierwsze miejsce wysuwa się ubranie. Bo ubranie — to pierwszy szczebel do awansu społecznego, to polepszenie własnego samopoczucia i własnych szans, to choć pozór jakiś zrównania się z innymi.

Z rozrywek w obu grupach najpopularniejsze jest kino, ten powszechny narkotyk, ten „wyszynk marzeń", pozwalający każdemu na ucieczkę od rzeczywistości w świat rojeń i snów, przez identyfikację z bohaterem. Pomyślmy, co daje kino tej młodzieży, i coby dawać mogło, gdyby miast schlebiać najniższym gustom, jak to przeważnie bywa, niosło w tłumy wielkie i twórcze piękno.

A książka? Ci którzy czytają, to przeważnie młodzież z grupy S, ale jakież to bywają książki, iście „zakazane"! Jednak „Trylogia" podoba się powszechnie, również i książki Rodziewiczówny, ale tuż obok niej wymieniana bywa i Zarzycka! Teatr znany jest, szczególniej w grupie S, ale mniej popularny niż kino.

Co jednak powinno specjalnie zainteresować sfery rodzicielskie, to rozdział, dotyczący domu rodzinnego. Uderza tu jakąś niebywałą żywotnością poczucie solidarności rodzinnej, tym silniejsze, im większa nędza. Młodzi chcą pracować byle jak, byleby pomóc rodzinie. Niewiele jest takich, którzy by cały swój zarobek zatrzymywali dla siebie. Ci, którzy mają pracę, kształcą młodsze rodzeństwo, i choć nie brak w rodzinach ciężkich konfliktów, to jednak w większości wypowiedzi zaznacza się serdeczny stosunek do matki. Matkę darzą ci młodzi zaufaniem, bo ich rozumie, bo „jest wyrozumiała", bo „przystępniejsza". W tym środowisku nędzy i bezrobocia, energia, zapobiegliwość i wytrwałość iście bohaterska matek godna jest najwyższego podziwu. Źródłem konfliktów i złej atmosfery w domu bywa najczęściej ojciec, na którego narzeka niejeden z młodocianych. Własnej rodziny boją się przeważnie założyć, bo „małżeństwo — to luksus".

W poglądach młodzieży przedmieścia tragiczne sprawia wrażenie chaos, jaki w jej myślach wprowadzają antynomie życia współczesnego. Obek podziwu dla techniki, widzimy potępienie jej jako przyczyny bezrobocia. Obok poczucia straszliwej krzywdy, wynikającej z nierówności społecznych — widzimy apoteozę bogactwa. A wreszcie, bolesne zagadnienie pracy, w której ci młodzi widzą nie obowiązek, a prawo, słusznie im należne.

Rozgoryczenie na wszelką niesprawiedliwość, na „protekcję", obok chętnego z niej korzystania, oto też przykład takiej antynomii. Żyją w atmosferze narzekania i krytycyzmu. Nic dziwnego. Ów przysłowiowy polski krytycyzm psychologiczny płód poczucia niepewności, nurtujący całe nasze społeczeństwo, najpodatniejszy chyba grunt znaleźć może w tym środowisku, gdzie widmo bezrobocia i nędzy pcha ludzi do rozpaczy.

„Wyprowadzić młodzież z chaosu", mówi autorka, mogą tylko rzeczywiście zmiany w strukturze gospodarczej społeczeństwa, oparte o jednolity światopogląd społeczny, zrozumiały dla młodzieży".

J. B.

Z PRASY POLSKIEJ.

Zagadnienia rodziny i współpracy domu i szkoły w naszej prasie.

W Nr. 15 „Narodu i Państwa" Dr. Malinowski z okazji Świąt Wielkanocy stwierdza „kryzys rodziny" u nas, co się wyraża w zaniku tradycyj i solidarności rodzinnej.

„Kurier Poznański" z 26 marca w artykule „Rodzice i dzieci" ubolewa nad coraz częstszym złym obchodzeniem się dzieci z rodzicami starymi i niedołężnymi — i to nie tylko w środowiskach wiejskich i drobnomieszczańskich, ale i wśród inteligencji. Ludzie wstydzą się starych rodziców, radziby ich zepchnąć w kąt najciemniejszy. Jest to dowód upadku poziomu cywilizacyjnego, i przejawy te muszą budzić poważną troskę. Przytem „dzieci, wychowane w takiej atmosferze, będą swoim rodzicom odpłacały tą samą monetą i dalej obniżały poziom cywilizacji".

W „Dekadzie" z dnia 20 kwietnia przedstawiciel młodzieży protestuje przeciwko „przesadnym alarmom o rozpadzie współczesnej rodziny", stwierdzając, że zło polega na braku wspólnego języka młodzieży ze starszym pokoleniem. Młodzież współ-

czesna entuzjazmuje się np. postępem techniki i sportami, a starsze pokolenie na tych rzeczach się nie zna i pogardliwie się do tych zainteresowań odnosi.

Szybki bieg wydarzeń ekonomicznych utrudnia przystosowanie się do nich, a stan duchowej niepewności, który ta sytuacja wytwarza u ludzi starszych, pracujących zawodowo, bywa często przez młode pokolenie rozumiany jako zwykłe niedołęstwo i przyczynia się do zachwiania autorytetu rodzicielskiego.

Młody autor twierdzi jednak, że młodzież dzisiejsza wcale od dawniejszej nie jest gorsza, i że kalumnie wielu moralistów wypływają z powierzchownych tylko obserwacyj.

W „Ekspresie Zagłębia" Dr. Z. Klimczyk nawołuje rodziców, aby do dzieci przystępowali „nie z kijem, ale z sercem" i stwierdza, że „po większej części wydaje się rodzicom, iż rola ich wychowawcza w stosunku do dziecka skończyła się z chwilą zapisania go do szkoły".

W „Kurierze Zagłębia" (Sosnowiec) „Jedna z matek" stwierdza, że „wszystko zło jakie spotykamy u młodzieży wychodzi od nas, rodziców i opiekunów"... „bo my nie jesteśmy pedagogami, nie interesujemy się przeżyciami dziecka, zajęci troską o byt materialny, karmimy je zwykle narzekaniami i goryczą. Nic też dziwnego, że dziecko wymyka się nam z rąk i żyje własnym życiem".

„Należałoby przede wszystkim" stwierdza autorka „pouczyć rodziców, jak należy się odnosić do dziecka". Proponuje, żeby nauczycielstwo organizowało odczyty wychowawcze, a jeśli sami są zbyt przeciążeni pracą, mogliby wciągnąć w tę akcję Towarzystwo Opieki nad Dzieckiem, i nawet bezrobotnych nauczycieli.

Za to p. J. W. w „Kurierze Bydgoskim" ubolewa nad bardzo małą frekwencją na klasowych zebraniach rodziców. Dlaczego nie przychodzą? Oto np. jeden z ojców, zaproszony na zebranie, odpisał: „na zebranie nie przyjdę, bo nie mam pieniędzy".

„Zdanie to ma pewną dozę słuszności", stwierdza autor artykułu. „Cóż bowiem rodzice słyszą na tych zebraniach.... o białym kołnierzyku, o czystym ubraniu i całych butach, o obłożonych zeszytach, a wreszcie tradycyjnie o regularnym płaceniu składek".

W „Pracy szkolnej" stwierdza p. Zwierzyński w artykule swoim o zebraniach rodzicielskich, że za małą frekwencję ponoszą po części odpowiedzialność sami nauczyciele, którzy nie potrafią ich uczynić dość ciekawymi. Można by je łączyć np. z interesującymi pogadankami radiowymi albo, jak to czynią na Pomorzu, (gdzie frekwencja rodziców na zebraniach wynosi 96%), ze specjalnymi atrakcjami w postaci przedstawień, śpiewów i deklamacyj dzieci szkolnych. „W takim nastroju", mówi p. Zwierzyński, „łatwiej porozumieć się z rodzicami". „Nauczyciele — dodaje — winni periodycznie organizować zebrania kół rodzicielskich, któreby współpracy z rodzicami nadawały charakter akcji stałej, a nie dorywczej, polegającej w znacznej mierze na windykowaniu składek".

Na dorywczość akcji pedagogicznego uświadamiania rodziców zwraca również uwagę p. Z. Zal. w „Kurierze Warszawskim". Oto, co pisze: „dzieła, pisane w celu nauczenia rodziców trudnej sztuki wychowania, czytywane są niemal wyłącznie przez nauczycielstwo", a „kiedy swego czasu „Zespół nauczycielski" zorganizował cykl odczytów o wychowaniu dla rodziców, okazało się, że np. wykład o psychologii dziecka w różnych okresach wieku był rewelacją dla słuchaczy, tak samo jak wykład, wykazujący jakie błędy wychowawcze powodują pewne schorzenia układu nerwowego i umysłowe".

„Pogadanki takie i wykłady doraźne są prowadzone na różnych poziomach i dla rodziców szkół powszechnych i szkół średnich, czy to przez Koła Rodzicielskie, czy organizacje pozaszkolne. Jednak cała ta „akcja", stwierdza autorka, „jest dość rozproszona, i nie zaważa na ogólnej atmosferze wychowania tak, by widoczne były jej wyniki".

Z PRASY ANGIELSKIEJ.

Wychowanie a przyszłość demokracji.

Majowy numer czasopisma rodzicielsko - wychowawczego „Home and School" podaje przemówienie Lorda Allena of Hurtwood, Prezesa Zarządu Rady Współpracy Domu i Szkoły Wielkiej Brytanii, na dorocznym zebraniu tejże Rady. Wzywa on do obrony wolności demokratycznej, której tradycja jest chlubą narodu angielskiego, a która winna być uratowana dla przyszłych pokoleń. A stać się to może przez wychowanie dzieci. Do wolności trzeba dziecko przygotować, aby zdolne było nietylko przyjmować, ale i odrzucać cudze myśli i poglądy, i aby przy gotowości do ochoczej współpracy umiało zachować niezależność własnych sądów oraz szacunek dla poglądów cudzych.

Takie zaś wychowanie przyszłych ludzi wolnych nie podlega na przeładowywaniu młodzieży wiadomościami, a na kształtowaniu charakterów. W przesadnym dążeniu do indywidualizmu obciążano dziecko swobodą rozstrzygania, która przekraczała jego siły, do której nie dorosło. Było to równie wielkim błędem, jak nadmierne podkreślenie autorytetu w dawniejszym wychowaniu. Nie znaleźliśmy jeszcze, twierdzi Lord Hurtwood, drogi do budowania charakterów.

Podwaliną do ich kształtowania musi być poczucie szczęścia, bezpieczeństwa. Życie wielkomiejskie daje go mało. Rodziny tłoczą się w ciasnych mieszkaniach, jedni drugim działają na nerwy. Dziecko nie wie, jak ma zapełnić czas wolny. Szkoła winna przyjść z pomocą domowi, winna stać się ośrodkiem kulturalnym każdego miasteczka, każdej wioski. Na to zaś trzeba się zbliżyć do środowiska, poznać je i z nim współżyć. Trzeba otworzyć podwoje szkoły rodzicom.

Nauczyciel, który zna warunki domowe dziecka, będzie wiedział, czego może od niego wymagać, nie będzie mu stawiał wymagań ponad siły, które łamią duszę, wypaczają charakter.

Pamięć jest najpotężniejszym czynnikiem w kształtowaniu charakteru. Gdyby każdy dorastający człowiek mógł spojrzeć wstecz na dzieciństwo pogodne, spędzone w atmosferze rozumnej dobroci, miałby w swej pamięci podświadomej i świadomej zasoby, które umocniłyby podwaliny przyszłej demokracji przez dopływ ludzi pełnych odwagi, ufności we własne siły, zdolnych zarówno do współczucia z innymi, jak i do twórczej współpracy. A kształtowanie takich ludzi ważniejsze jest, niż zakres nabytych w szkole wiadomości.

Pielęgniarka społeczna jako pośredniczka między domem a szkołą.

W bardzo ciekawej książce „Wychowanie ku współżyciu" zastanawia się prof. H. Rivlin nad zagadnieniem poznania środowiska dzieci przez nauczyciela. Znajomość stosunków rodzinnych jest niezbędna nauczycielowi, a jednak zdobyć on jej nie może, takie bowiem zadanie przerastałoby poprostu jego siły. Zresztą, trudno wymagać, żeby nauczyciel był, choćby w skromnym zakresie, psychoterapeutą. Na to trzeba specjalnego przygotowania, trzeba być specjalistą od higieny psychicznej, tak samo jak do czuwania nad higieną cielesną potrzeba higienistów. Rolę pośredniczek pomiędzy nauczycielstwem a rodzinami powinny odgrywać specjalne pielęgniarki społeczne, których zadaniem byłoby czuwanie nad higieną psychiczną środowisk rodzinnych. Koszt takiej instytucji, twierdzi autor, sowicie opłaciłby się społeczeństwu przez zapobieżenie przestępczości i wykolejeniom moralnym.

J. B.

MIGAWKI.

Pan M. kocha karty... Dziwną siłę przyciągającą mają te magiczne obrazki... Szczególnie pocker jest emocjonujący. Pan M. ma dwóch synów. Często gra z nimi, gdy mu przyjdzie ochota. Taniutko naturalnie, ale często. Jeden syn jest w 7-mej klasie, drugi w 3-ciej. Obaj ogrywają ojca i cieszą się. Stanowi to niezły dochód uczniowskich kieszeni. Ojca podnieca przegrana, podwaja stawkę, potraja, przebija, dokłada i... przegrywa zazwyczaj. Synowie śmieją się i cenią to źródło zarobków. Mają szczęście! Ojciec na drugi dzień zawsze „musi się odegrać", ale ojciec przeważnie nie ma szczęścia. Więc znowuż się „odgrywa". Z tym odgrywaniem to po prawdzie jest gorzej, ale w synach rośnie żyłka do hazardu i... rosną noty za nieodrobione zadania i pęcznieje zeszycik do świadectw, że... „syn nie mógł przygotować lekcyj z powodów rodzinnych"...

*

U państwa Z. kwitnie bridge. Nie tylko kwitnie — pasjonuje wszystkich. Gra mama, gra tata i siostra pani Z., która jest na każde zawołanie, bo mieszka w tym samym domu. Czyli zawsze jest trzech no i jak zawsze jest „polowanie na czwartego".

Ponieważ ów czwarty często, zwłaszcza w dzień powszedni, jest trudny do zdobycia i owo zdobywanie powoduje liczne niehumory i zdenerwowania, więc — po rozum do głowy! Można przecież nauczyć licytacji 13-to letniego Kazika, a potem, no trudno, ten z graczy, który się „rozkłada" będzie za niego rozgrywał. Cudowny pomysł! Kazik, to kochane dziecko, okazał się tak bardzo pojętny, że wkrótce nie trzeba go było wcale zastępować, potrafił sam rozgrywać nie gorzej od reszty rodziny. Ho, ho! Smykałkę do kart miało to dziecko.

Rodzina państwa Z. mogła się tedy zagrywać do woli.

Kazikowi w to graj. Lekcje? Szkoła? Jakoś tam będzie! Za to zyskał poważanie w domu, stał się przecież chwilami konieczny. Zresztą nawet gdy nie trzeba pomocy Kazika, bo trafił się akurat ktoś dorosły, chłopak kibicuje uparcie, robiąc krytyczne uwagi i dorosłe dowcipy. Rodzina jest zachwycona, ubawiona serdecznie. Ojciec po obiedzie rozstawia stolik, wyjmuje karty i mówi:

— Kazik, skocz no po ciocię Jankę!

Ocho! Kazik już wie, co to znaczy. Ten „czwarty do bridge'a" wyrabia się z dnia na dzień, imponuje rodzinie, wprawia w zachwyt. Prawda, jakie to zabawne?....

*

Tak się jakoś już dziwnie dzieje, że w tramwaju najwięcej pada oskarżeń na kulturę i wychowanie młodzieży.

Ot, na przykład: jest tłok, przeważnie młodzież szkolna. Jakiś bardzo otyły pan, czerwony, zasapany, tłoczy się ku wyjściu. Grubas nie może się ani rusz przepchać, co raz to zaczepia o kogoś, zagarnia jakieś teczki, palta, zasapał się jeszcze bardziej, poczerwieniał.

Mimo woli nasuwa się przypuszczenie, że w normalnie „zaludnionym" tramwaju, bez tłoku, sprawiłoby mu też pewne trudności wydostanie się z wozu. To też młodzież, widząc jego wysiłki, z trwogą oczekuje jak uda się grubasowi dobrnąć jakoś do wyjścia. I nagle... w tę chwilę niespokojnego oczekiwania wpada gniewny, zasapany głos tęgiego pana: „To taka młodzież właśnie, co się ani usunie! Nauczyciele darmo biorą pieniądze, kiedy młodzieży grzeczności nie uczą!"

„Iks"

SPROSTOWANIE.

W artykule p. Zofii Szydłowskiej p. t. „List z Krakowa" w Nr. 4 „Rodziny i Dziecka" wkradła się pomyłka, za którą przepraszamy Szanowną Autorkę.

W wierszu 21 i następnym winno być: „...wypowiedzieć się na temat istotnej współpracy domu ze szkołą, polegającej na uzgodnieniu ducha szkoły z atmosferą domu".

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU.

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy)
wynosi 70 groszy za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji
Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy
i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe
księgarnie w Warszawie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace
winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.